

# BEZ DEKRETU

*Pismo członków i sympatyków*  
*„SOLIDARNOŚCI”*

**NR 4**

Kraków — Luty 1985

Spis treści:

1. Juliusz Słowacki - Kiedy prawdziwie Polacy powstaną . . . . .	3
2. Mój punkt widzenia - Rozmowa z robotnikiem . . . . .	4
3. Andrzej Szczypiorski - Polityczne Dmuchanie . . . . .	13
4. Kamil Krak - Józef Mackiewicz /1902 - 1985/ . . . . .	17
5. Gabriel Pierocki - "Od Was, Bracia Włościanie..." . . . . .	18
6. Sprawy związkowe:	
Marian Krawczyk - Realiści i ideałści . . . . .	21
Malkontent z HiL - Problem samorządów pracowniczych w 1985 r. . . . .	25
7. Protest . . . . .	28
8. Leszek Kołakowski i Lucio Coletti o teologii wyzwolenia . . . . .	28
9. Timothy Garton Ash - Strefy wpływów . . . . .	34
10. Zbigniew Brzeziński - Wejda, nie wejda... . . . . .	43
11. Barbara Baryła - Widoczki z fin de siecle'u . . . . .	48
12. Andrzej Płatonow /tł. A. Drawicz/ - Wykop /fragment/ . . . . .	50
13. Andrzej Wiernikowski - Przygody w Księstwie Nieśmiałości . . . . .	59
14. Kisiel - Kto przeżyje wolnym będzie! . . . . .	70
15. Konrad Struga - Czy istnieje program naszego pisma . . . . .	72

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

## Kiedy prawdziwie Polacy powstaną ...

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,  
To składek zbierać nie będą narody,  
Lecz ogłupieją i na pieśń strzelaną  
Wytężą uszy, odemkną gospody.

I będą wieści z wichrami wchodziły,  
A każda będzie serce ludu pasła;  
Nieznajomymi świat poruszą siły  
Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,  
Że jakiś naród wstał w ciemności dymie,  
Choć tak rozpaczny - nie w imię rozpaczy,  
Choć taki mściwy - a nie w zemsty imię.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę  
W przeświętej serca ludzkiego ciemnicy,  
Iż przez sztandary jest tłuczony złote,  
I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

Cóż to - zapyta - są za bezimienne,  
Którzy na dawnym wstali mogilniku?  
Bój tylko widać i ogniste wieńce,  
A zwierzęcego nic nie słychać krzyku!

Nie, to nie ludzie z krwi i ciał być muszą,  
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,  
Którzy za duszę walczą tylko duszą  
I ogniem biją niebieskim w pancerze...

# MÓJ PUNKT WIDZENIA

## Rozmowa z robotnikiem

- Czym jest "Solidarność" dzisiaj?
- W moim rozumieniu jest trupem, reanimowanym trupem. Znaczy to, że żyje, ale na takiej zasadzie... Jakby to powiedzieć? To już nie jest to, co było kiedyś. Dzisiaj "Solidarność" obumiera. Nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Znacznie wcześniej tak widziałem naszą przyszłość.
- Wcześniej, to znaczy kiedy?
- Jeszcze w czasach oficjalnej działalności Związku. Jakies 7-9 miesięcy od czasu powstania "Solidarności". Widziałem, że wielu ludzi było do dyskusji. Natomiast, kiedy trzeba było uchwały realizować okazywało się, że pozostawało niewiele osób. Na tej podstawie można było przewidywać, co będzie kiedy sytuacja się zmieni, z czym zresztą liczyliśmy się.
- Liczyliście się z tym, że "Solidarność" jako instytucja może być rozwiązana czy zlikwidowana?
- Nie! Nie z tym, że może przestać istnieć. "Solidarność" to rzecz święta i Ona będzie istniała. Liczyliśmy się z tym, że mogą nas rozwiązać. I tak zrobili.
- Zaskakuje mnie pan, bo w ciągu 16 miesięcy istnienia "Solidarności" nie słyszało się głosów prorokujących Związkowi taki finał.
- Oczywiście i to jest właśnie tragedia. Parę osób z mojego najbliższego otoczenia przewidywało tę sprawę. Sygnalizowało ją, szczególnie kiedy dostawaliśmy już pewne informacje dotyczące zamierzeń władzy. Jeszcze wówczas nie wierzono im. Po zamachu wielu twierdziło, że wcześniej wiedzieli, iż tak się stanie. Uważam, że to było takie gadanie. Nikt z nas nie wierzył i jeszcze raz nie wierzył w taką możliwość. Były dyskusje: wejda czy nie wejda, ale nikt nie traktował tego poważnie. No bo przecież Amerykanie, to Ojciec Święty itd.
- Skoro określił pan "Solidarność" mianem reanimowanego trupa, znaczy, że działa pan w tym trupie?
- Oczywiście.
- W czym? Nie rozumiem jak można działać w organizacji, która jest trupem.
- Precyzyjnie wygląda to tak. Cała robota sprowadza się do kilku osób, które wszystko ciągną. Resztę stanowią ludzie, którzy nas w zdecydowanej większości popierają. Mówię o zakładzie pracy. W moim przekonaniu popiera nas 75%, a 20% /oczywiście w tych zakładach gdzie jest życie/ płaci składki i czyta bibułę. W obrębie tych 20% są wahnięcia. Jeżeli nie ma bibuły, krzyczy się, że jej nie ma. Kiedy jest więcej, krzyczy się, że to wszystko wiemy i po co o tym pisać.
- Albo kwestia zbierania składek - to potworna robota. Początkowo było tak, że każdy dawał ile mógł. Średnio wypadało 50 złotych. Oczywiście byli i tacy, którzy dawali 1000, czy 500 złotych. W pewnym momencie ustaliliśmy 100 złotych od każdego. I wcale nie wygląda to tak, że w dzień wypłaty ludzie przychodzą, żeby wpłacić. Trzeba za nimi chodzić i prosić ich. Mają świadomość, że ileś już zainwestowali, ale jednocześnie cechuje ich niewiara.

- Jakiego rodzaju niewiara? W co nie wierzą?

- W zwycięstwo sprawy. Płacenie składek traktują jako pewnego rodzaju zachowanie twarzy. Nie mówię oczywiście o tym minimalnym procentie ludzi zdecydowanych na wszystko. Tacy stanowią jakieś 2% tych 20% płacących i czytających. To także nie jest stała wielkość, te 20%. Ludzie powolutku odpadają pod rozmaitymi pretekstami: a to zapomniał, kogoś zwolniono z pracy, inny zapisał się do nowego związku dlatego, że starał się o pożyczkę... I tak powolutku obumieramy.

- W sensie obumierania potencjału ludzi zdolnych do roboty związkowej?

- Tak, ale bywa i tak, że ludzie, których nikt nie podejrzewał o to, zaczynają działać. Pokazują, że potrafią coś zrobić i to jest dla nas jedynie pocieszająca sprawa. Tak więc masa 10 mln bardzo się skurczyła i stąd to moje określenie "Solidarności" jako reanimowanego trupa.

- Jak pan ocenia przywódcę "Solidarności", Lecha Wałęsę?

- On jest symbolem, on musi być i zrobić wielką robotę. Lechu to jest Lechu. Uważam jednak, że on - jako odpowiedzialny za Związek - jest również odpowiedzialny za porażkę. Z mojego punktu widzenia winien był prowadzić Związek inaczej.

- Mówi pan o okresie legalnej działalności?

- Tak. Moje spostrzeżenia sprowadzają się do tego, że powinien był wprowadzić formę dyktatury. Demokracja demokracją, ale do pewnego momentu. Informacje trzeba było zbierać, dyskutować na posiedzeniach, ale jak już szedł prikaz - to trzeba było go konsekwentnie wymagać. Lechowi nie wolno było powiedzieć: mówcie, że ich kochacie, a róbcie swoje. Tego się nie mówi. Trzeba było robić i rozłożyć robotę na ileś lat. Zarzuca się nam z rozmaitych stron, że nie rozłożyliśmy roboty na zakłady. Niestety jest w tym wiele racji. Teraz to widać. Tam, gdzie była grupa ludzi potrafiących działać - dzisiaj w tych zakładach "Solidarności" żyje. Gdzie nie było takiej grupy - dzisiaj nic się nie dzieje. Gdybyśmy więcej uwagi poświęcili zakładom, to mimo rozlicznych prowokacji, działalibyśmy oficjalnie nieco dłużej. Doszłoby ostatecznie do tego samego, ale później. A przecież każdy kolejny miesiąc był dla nas. Na naszą korzyść. Teraz zaś czas pracuje przeciwko nam.

- To bardzo pesymistyczne co pan mówi.

- A jednak jestem optymistą. Uważam, że do 1985 roku będzie po wszystkim, ale nie my to zrobimy. To się stanie poza naszym krajem. Może będzie sytuacja zbliżona do tej po I wojnie światowej? To jedno, a drugie - to sprawy ekonomiczne. Polska nie wydzwignie się bez pomocy Zachodu. Potwornym błędem byłoby, gdyby Zachód dał pomoc. Bez kontroli społeczeństwa, bez kontroli niezależnego Związku "Solidarności" każda pomoc jest bez sensu. Nie myślę o humanitarnej, bo to dwie różne sprawy. Przecież my, Polacy, nie będziemy brali odpowiedzialności za ewentualne pieniądze, gdyby nam je pożyczono. Za te dwadzieścia parę miliardów można było tutaj zbudować drugą Polskę. A co się stało?

Innym elementem, który może zdecydować, może być jakaś zawierucha w którymś kraju tzw. bloku wschodniego. Ja optymistycznie wierzę, że coś wydarzy się do roku 1985. Na dzień dzisiejszy, z mojego punktu widzenia, nie mamy żadnych szans, żeby cokolwiek zmienić. Teoretyczne rozważania, że będziemy pracować, przekazywać informacje, szkolić... to tylko teoria. Do tego trzeba ludzi. W ciągu 16 miesięcy oficjalnej działalności Związku społeczeństwo dostało taką masę informacji, że powinna mu ona wystarczyć, a nie wystarczyła. Społeczeństwo przez jakiś czas trawiło te informacje, a potem zapomniało.

- Uważa pan, że bez śladu to wszystko minęło?

- Został ślad, szczególnie wśród młodzieży, bo jest spragniona i taknie informacji. Starsi, w miarę ustabilizowani, nie będą niczego robili, bo nie chcą stracić tego co posiadają.

- A może widzieli już kilka kryzysów i po prostu nie wierzą w kolejne odnowy?

- Ciągłe wierzą. Optymizm jest w narodzie, tylko że naród nic nie będzie robił. Naród nie zdaje sobie sprawy, że gdybyśmy wszyscy napluli - to jest dość brutalne powiedzenie - to nasi przeciwnicy potopiliby się w tym. Każdy musiałby dać tę cegiełkę. Nie robi tego, bo liczy, że zrobi to ktoś inny za niego. Poza tym w mentalności społecznej "Solidarność" to jest ni mniej, ni więcej tylko jakiś taki stwór, który gdzieś wyszedł i powiesił flagę "Solidarności", coś namalował. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że to każdy z nich jest częścią "Solidarności". To im trzeba uświadamiać. Robi się to, ale nie ma wystarczających efektów.

- Wyraża pan pogląd, iż o naszym polskim bycie zadecydują zmiany z zewnątrz, które nastąpić winny przed magicznym rokiem 85. A także i ten, że "Solidarność" to reanimowany trup. Dlaczego więc podjął się pan działania, robienia w podziemnych strukturach "Solidarności"?

- Albo ktoś jest do czegoś urodzony, powołany, albo nie. Ja jestem i zdaję sobie z tego sprawę. Poza tym człowiek ma swoją godność i jeszcze parę innych rzeczy. Dałem słowo i jako człowiek muszę być w zgodzie z własnym sumieniem - takie jest moje prywatne zdanie. Mogę zostać sam. Zresztą w momencie podejmowania decyzji człowiek zawsze jest sam. Przyzwyczajony jestem do samotności. Na samym końcu, kiedy będę zdychał, zostanę sam na sam ze swym sumieniem. To sumienie muszę mieć w porządku. I jeszcze jedna sprawa: nikt mnie nie upoważniał do tego, żebym zaprzestał działalności. Żaden z kolegów, którzy mnie wybrali nie przyszedł i nie powiedział: słuchaj stary, masz zrezygnować. W pewnych ludzi patrzę jak w obraz, choć z małą dozą ironii.

- Czy to patrzyenie jak w obraz w pewnych ludzi nie jest pro-"Solidarnościowe"? Przecież nie każdy potrafi działać.

- Każdy potrafi działać. W ludziach drzemie wystarczająco dużo energii, o której nawet nie wiedzą. Ale to jest naród o słomianym zapale. Nie stać go na długofalowe działanie. Szybko się wypala.

- Powtarza pan niemal słowo w słowo za oficjalną propagandą.

- Nie. Propaganda to jest raz, ale ludzie tacy są. Wpłynęły na to lata niewoli. W związku z takim stanem trzeba spowodować, żeby ludzie uwierzyli, że wiele potrafią. Może takim momentem byłoby ogłoszenie neutralności.

- Gdzie pan znajdzie siłę, która ogłosi neutralność naszego kraju?

- Teraz mówię o tym, co widzę w przyszłości. Patrzę do przodu. Na samej górze widzę niepodległość, niżej neutralność, jeszcze niżej 3-Maja Święto Narodowe, a jeszcze niżej orła z koroną.

- Jaką pan widzi drogę dojścia do tego?

- Musimy być bardzo mocni ekonomicznie, bo inaczej nas zjedzą z jednej i drugiej strony. Do tego potrzebny nam jest przywódca. Przywódca duchowy jest - to Ojciec Święty. Potrzebny nam jest taki, który umiałby nas pociągnąć. Na dzień dzisiejszy nie widzę takiej możliwości. Chyba, że nastąpią radykalne zmiany, reorganizacja tego szczątkowego ruchu.

- Na czym powinny te zmiany polegać?

- Trzeba utworzyć partię.

- Na bazie "Solidarności"?

- Tak - na bazie "Solidarności". "Solidarność" jest tym ciałem, gdzie wypłynęły pewne jednostki: najlepsi z najlepszych. Nie znaczy to, że wszyscy. Podstawą roboty są ludzie. Trzeba byłoby najpierw dobrać ludzi, znaleźć ich. Mamy szansę to zrobić dopóki istnieje "Solidarność". Jako optymistą zakładam, że do 1985 roku coś cię przewróci. Jeżeli się to nie sprawdzi, to w 1985 będzie nas już tylko po kilku tam, gdzie były tysiące. Jeżeli do tego czasu nie zdążymy stworzyć partii, to znowu będziemy czekać na kolejny zryw, kolejny kryzys, ale będzie nam o wiele trudniej. Wpłyną na to wszystkie wydawane ustawy plus zastraszanie społeczeństwa, które jest duże. Wiele lat minie zanim ono opadnie. Zanim zacznie się to, co było kiedyś, mianowicie pewna liberalizacja ze strony władzy, kolejny rozkład aparatu i jeszcze większa bieda. Jeżeli nie będzie tej kadrówki lub partii, to znowu pójdzie wszystko na żywioł. Znowu zostanie rozwalone przy najbliższej okazji.

- Jak pan sobie wyobraża tę kadrówkę, czy partię?

- Ma to być partia opozycyjna uznająca, niestety, przewodnią siłę partii komunistycznej. Wówczas byłaby jakaś kontrola. Związek bowiem jest pewną siłą społeczną, która nie walczy z rządem, a jedynie wychysta to, co nazywamy biurokracją.

- Czyli dba o interesy ludzi pracy?

- Oczywiście... Jeszcze przed stanem wojennym, kiedy wojsko przyszło oglądać zakłady pracy, jasne było, że muszą zdawać relacje z tych wstępnych oględzin. Przekonali się wówczas, że z "Solidarności" nikt nie chce nikogo mordować. To chyba przekazali. Meldunki te najprawdopodobniej odbierał Rakowski i Jaruzelski. Myślę więc, że zdają sobie sprawę z tego, że rozwalenie wszystkich powiązań na prowincji między sekretarzem a prezesem spółdzielni itd. to podstawa i na tym dopiero można cokolwiek zrobić. Kiedy nas brali ze strajków piętnastego czy cztertnastego grudnia to przecież mówiono nam, że to nie chodzi o "Solidarność", a jedynie o to, że Jaruzelski musi zrobić porządek z całą biurokracją. Żeby to zrobić - musi zrobić porządek w ogóle.

- Powiedział pan, że "Solidarność" jest reanimowanym trupem, że poniosła porażkę. Jednocześnie pragnie pan, by na bazie "Solidarności" powstała kadrówka czy partia. Nie widzi pan tutaj żadnej sprzeczności?

- Jeszcze raz podkreślam, że masa związkowa to jesteśmy my - wszyscy. Odpadło wiele milionów.

- Przeszli raczej w stan bierności, oczekiwania...

- Apatii i tysiąca innych spraw. Iles osób zostało i dalej robi. Ci, którzy robią, potrzebują wsparcia od swoich kolegów, dla których robią. I vice versa, ci koledzy potrzebują wsparcia od swoich, jak to nazywam, wodzów. Z upiwyem czasu mobilizacja z jednej i drugiej strony maleje. Inna atmosfera była zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Inna jest obecnie - jest dużo, dużo gorsza. Co teraz zrobić? Nie możemy zostawić tego wszystkiego, bo będzie dalsze obumieranie. Powiedziałem już, że zostanie nas kilku tam, gdzie były tysiące. Trzeba więc wykorzystać resztę i budować na bazie tych 20%, które są, czytają, płacą, interesują się. Budować na tej bazie to, co nazywam umownie kadrówką, czy partią. Nie jest to żadne zaprzeczenie, ale pewien program do przodu. Nie możemy zostać na obecnym etapie. Musimy coś zrobić. Znaczy to, że musimy podjąć decyzję. Im wcześniej to zrobimy, to lepiej dla nas. Jeśli tego nie zrobimy, to - chciałbym się mylić - dojdziemy do tego co powiedziałem: zostanie nas kilku. Wtedy będziemy się nawzajem pocieszać i nastąpi następny kryzys. Nie wiem za ile lat i jak się skończy.

- Kto ma podjąć ową decyzję o tworzeniu kadrówki czy partii?
- Kto? My musimy podjąć: ja i moi koledzy.
- Podejmiecie - i dla kogo jest ona obowiązująca?
- Po to są kontakty, po to mamy struktury. Podajemy pomysł do przodu, do przeanalizowania, do przedyskutowania.
- Czyli jest to jakby oddolna inicjatywa?
- Tak. Całkowicie. Następnie po zebraniu informacji i zaklepaniu powinno być polecenie dane ogólnie. Był moment, że ludzie na to czekali. Ich myślenie było takie: zostaliście wybrani i macie decydować. Ale decyzji nie było.
- Czy to nazywa pan porażką "Solidarności".
- Oczywiście, ale tutaj są dwa różne elementy. Po pierwsze był błąd w kierowaniu. Byliśmy młodym ruchem i zachłysłniśmy się demokracją, która przeradzała się w anarchię. Nie chodzi mi o to, co mówią nasi przyjaciele w TV, ale o to, że w obrębie Związku również była anarchia. Nie wolno było do tego dopuścić. Żeby to się nie stało, potrzebna była wyjątkowa indywidualność, tzn. na miarę Lecha, ale o zapędach wielkiego dyktatora. A co się działo? Rozliczne rozgrywki, w efekcie których wytracano siły. W momencie wyborów wszystko miało być scedowane na Lecha. Oczywiście i on miał też parę taktycznych błędów. Sam parę razy sygnalizowałem: nie piszmy po murach, najważniejsze jest dojście do TV. O to trzeba było machnąć strajk... To jakby spóźnione żale, ale nie całkiem, bo też niektórzy nie wyciągnęli wniosków. W każdym bądź razie na dole zaczynamy myśleć i chcemy, żeby podjęto decyzję i utworzono to, co ja nazywam umownie kadrówką. To jest bardzo pilne. Są przecież przeciwnicy, że pewna ilość osób odchodzi od Związku i zaczyna się usadawiać przy kościołach.
- Czy to działacze odchodzą?
- Tak - działacze "Solidarności". Przestają być działaczami "Solidarności" a stają się działaczami kościelnymi. Odchodzą od nas. Tracimy też ludzi przez samorządy. Dzisiaj samorząd nie ma prawa istnienia. Jest to tylko strata ludzi. Założmy, że delegujemy do samorządu ludzi. Oni się tam po prostu wykańczają, bo niczego nie mogą popchnąć do przodu.
- Bywają jednak takie sytuacje, że w niektórych zakładach nie istnieje podziemna "Solidarność". Czy tam byli działacze "Solidarności" nie powinni wchodzić w skład samorządu?
- Każdy może wchodzić w skład samorządu. Jednak ze związkowego punktu widzenia te samorządy bez autentycznego związku zawodowego nie mają racji bytu. Jeżeli ktoś wszedł w skład samorządu, nikt go stamtąd nie będzie wyciągał. Tylko, że ci ludzie zmieniają się. Łatwiej im pójść do dyrektora, wypić kawę, sięść, nogę na nogę założyć.. Na własnym przykładzie możemy udowodnić, że samorząd jako taki jest fikcją, obwarowaną dyrektorami, dyrektywami, ustawami itp.
- Podobno w niektórych zakładach w gestii samorządu jest kontrola spraw kadrowych i płac.
- W niektórych. W nich z kolei nie istnieje "Solidarność" w sensie związkowym. Samorząd nie ma żadnego prawa. Ma przecież podnosić wydajność pracy. Co to znaczy? Ci sami ludzie, którzy byli w Związku, mają teraz chodzić z batem, żeby podnieść wydajność.
- Sumując - uważa pan, że zajmowanie stanowisk w samorządach jest poronionym pomysłem?
- Oczywiście. To tylko strata ludzi.



- Jak pan ocenia działanie TKK? Czy zdaniem pana TKK winno się ujawnić?

- Nieeee... nie. Nigdy! Człowiek, który raz w życiu podjął decyzję nie może się wycofać. Jeżeli TKK rozwiąże się, to możemy się spokojnie rozejść do domów... Oni nie mogą się ujawnić. Jeżeli weszli na świecznik, to nie mają prawa wycofać się. Przecież tak samo ja się na coś zdecydowałem. Ryzykuję tak samo jak oni. Z tym, że oni są w lepszej sytuacji, bo mają nazwiska - ja go nie mam.

- I "świat" nie będzie się o pana upominał?

- Nikt nie będzie się upominał. Nie o to chodzi. Po prostu musimy ponieść ofiary. Z tego należy sobie zdać sprawę. Więcej - o tym trzeba było myśleć w momencie podejmowania decyzji. Kiedy się ją podjęło to już ze wszystkimi konsekwencjami.

- Jakie było pana "dochodzenie"? Czy zaczęło się od czasów "Solidarności", czy wcześniej?

- Trochę wcześniej. Nic więcej nie powiem.

- Wracając do działaczy. Działa, czy robi pan na terenie Galicji, czyli jest pan podporządkowany RKS Małopolska?

- Tak.

- Czy oczekiwania pana w stosunku do bezpośrednich przywódców pokrywają się z rzeczywistością?

- Duży zawód jeżeli chodzi o to, co nazywało się RKW i posunięcie przywódcy, który się ujawnił.

- Czy jego zachowanie uważa pan za zdradę?

- Nie jestem stworzony do osądzania. Nie znam całości sprawy. Jego posunięcie odczuliśmy w sposób absolutny. Spowodowało ono odpływ większej ilości ludzi.

- Znaczy to, że gdyby TKK ujawniło się, odpływ ludzi byłby spory?

- Nie chcę się wypowiadać... W każdym razie późniejsze RKS zrobiło dużą robotę. Poczuliśmy, że jest to firma. Nie znaczy to, że nie było błędów. Jednak duża robota była zrobiona.

- Czuje pan tę robotę?

- Tak, czuje się, że jest. Robimy pewne kroki, żeby wymóc zmiany. Dopóki nie powstanie kadrowka, czy załączek partii, trzeba przejść na jednoosobowe kierownictwo. Starsi ludzie, działający kiedyś w AK, po prostu śmieją się z nas. Śmieją się, że my sprzedajemy siebie na paletni. Ci ludzie mają pewien punkt odniesienia.

- Ale to były struktury wojskowe, proszę pana.

- Wojskowe, ale my mamy się uczyć.

- Jednocześnie jednak winien pan pamiętać, że ci ludzie zostali złamani przez ubecję. Na ogół nie włączyli się potem aktywnie w życie polityczne. Jeżeli teraz się śmieją - to jedynie z pozycji outsiderów.

- Naszym obowiązkiem jest uczyć się. Trzeba do tych ludzi dotrzeć. I znówu problem: brak nam ludzi. Gdyby było dość, to każdy robiłby jakąś robotę. Wyznaczeni chodziliby i szukali kontaktów z byłymi aktywnymi działaczami podziemia, którzy mają sporo do powiedzenia.

- Czy pan korzystał z doświadczeń AK-owców w swojej działalności?

- Proszę pani, gdyby to ode mnie zależało... Gdybym stał na czele

związku, to wiele rzeczy wykorzystalbym. Jedna podstawowa - nie przeniknelismy w druga strone. Gdybyśmy zaraz na poczatku przenikneli do partii. Nikt sie jednak nie spodziewal, ze bedzie to trwało tak dlugo. A przeciez od srodka wszystko byśmy rozlozyli. Zostalaby partia z tą sama nazwa, ale inna. Musimy przynikac w druga strone. Teraz jest jeszcze trudniej niz w czasach oficjalnej dzialalnosci.

- Obawiam sie, ze nie docenia pan mechanizmów systemowych. Sądze, ze współczesne Konradki Wellenrodki niewiele dziaają.

- Bo to jest potworna robota. Na dzien dzisiejszy dla nas nie do przeskokoczenia.

- Jak pan wyobraza sobie wejście nowej partii powstałej na bazie "Solidarnosci", w dzialalnosc polityczną?

- Jezeli sie na to nie zgodzą...

- Raczej nie zgodzą się.

- Myśle w tej chwili o związku, czy to katolickim, czy jakimkolwiek innym, czyli o pluralizmie związkowym. Jezeli na to władza się nie zgodzi, to wtenczas pozostanie tylko jeszcze jedna mozliwosc: dzialanie partii po uprzednim oficjalnym jej zgłoszeniu. Tutaj ludzie muszą mieć poczucie odpowiedzialnosci i swiadomosc, ze w razie czego trzeba będzie placic! Należy jeszcze raz, juz któryś z rządu, postawic sprawę ucciwie. Równocześnie należy pomyslec o innym rozwiązaniu na wypadek, gdyby to nie dalo efektu. Najprawdopodobniej nie da. A jakie? O tym nie mogę juz mówic! Mamy sobie popatrzec w oczy i wiedziec o co chodzi.

- Mówiac o pluralizmie związkowym powiedzial pan: katolickie związki zawodowe. Nie sądzi pan, ze przed ewentualnym zalozeniem takich związków nalezalboby zapytac Kościół o zgone?

- Tuż po odjeździe Ojca Świętego cos zaczęło się mówic o tym, ze będzie kontrola Kościoła. Potem to przycichło i zostało jakby przez Prymasa odrzucone. Później slychac było jakies glosy na temat partii chrześcijańsko-demokratycznej. I teraz cicho. To jest gra dwóch stron - polityka. Jedna ze stron jest dla mnie mniej więcej przejrzysta: zyskac na czasie i doprowadzic do pewnej stabilizacji na zewnątrz. I tutaj powinniśmy pokazывать, ze stabilizacji nie ma, bo ludziom żyje się coraz ciężej.

- W imię czego podjął głodówkę Kazimierz Switon?

- Między innymi, żeby powstał katolicki związek zawodowy.

- Czy Kościół zajął w tej sprawie stanowisko?

- Uważam, ze oficjalnie nie. Oficjalnie, dla mnie, Kościół to Prymas Glemp. Nieoficjalne zaś stanowisko to poszczególni kapłani, którzy są juz na czarnej liście. Taka jest prawda. Z tym, ze nie jestem w żadnym przypadku przeciw polityce Kościoła.

- Jaki są pana oczekiwania w stosunku do Kościoła?

- Kościół ma robić to co robi: wiara, humanitarna pomoc, myslenie, żeby kościoły były budowane i wiele innych rzeczy. Mogłby oczywiście oddziaływać w kierunku utworzenia partii, ale to jest utopia.

- Czyli akceptuje pan politykę Prymasa Glempha?

- Akceptuję, ale nie w całości. Wolałbym radykalniejsze posunięcia z jego strony. Oczywiście, Kościół nie może isc za daleko, bo się z nim rozprawią. Ale Kościół winien zdawać sobie sprawę z tego, ze "Solidarnosc" stanowi dla niego tarczę. Jezeli nas nie będzie, to ostrzej wezmą się za Kościół. Walka z Kościołem przeciez juz się rozpoczęła. Ściągają krzyże, wprowadzają elementy demoralizacji w srodkach masowe-

go przekazu. Episkopat wydał na ten temat specjalny list czytany z ambon.

- Powiedział pan, że wolałby niektóre posunięcia Prymasa widzieć radykalniejszymi. Czy może pan to ukonkretnić?

- Konkretnie chodzi mi o postawienie sprawy więźniów politycznych do tej pory siedzących. Nie wyobrażam sobie też praktycznej realizacji słów o pojednaniu w kontekście rządu Jaruzelskiego. Nie wiem, czym kieruje się generał, ale gdyby on był mężem stanu albo politykiem w miarę - to musiałby zrozumieć, że jeżeli nie ruszy narodu, to choćby mu dano miliardy dolarów, to i tak guzik z tego wyjdzie. No i efekt końcowy jego polityki jest taki, że grozi banicją i przetrzymuje więźniów. A to wszystko jest przeciw porozumieniu. Większość ludzi jest biernie przeciw. Ta bierność zaczyna nabierać rozmiarów, które określiłbym mianem początków Apokalipsy tu u nas, w tym kraju. Nie tylko, że nie pracuje członek nowego wroniego związku. Nie tylko, że nie pracuje członek partii... Korupcja rozrasta się do gigantycznych rozmiarów, rozprężenie, pijaństwo itd. Naród na to patrzy: wy tak robicie, no to i my. I tak się koło zaczyna coraz szybciej obracać w kierunku upadku państwa.

- Co pan uznaje za najważniejszą formę działania Związku w tej chwili?

- Wyjście na normalną, legalną działalność. Doprowadzić do tego przez radykalne posunięcia, przygotować i powiedzieć tak: przychodzi piąta rocznica Sierpnia - ma być strajk. Nie potraficie stać w zakładach, bo się boicie - siedzicie w domu. A jeżeli stanie się tak, że wiara nie posłucha i przyjdzie do pracy, to wtedy trudno. Każdy przecież musi dać cegiełkę. Nie dajcie, to Związek musi przestać istnieć, a działania winno rozpocząć partia. Wszystko to na razie jest płynne, ale to już na dniach trzeba konkretyzować!

- 18 września Pafawag stanął w obronie swoich wyrzuconych z pracy za udział w manifestacji.

- Oczywiście. Jednocześnie jednak jest wiele sygnałów, że za bardzo się rozdrabniamy na tysiącach drobnych rzeczy.

- Nie sądzi pan, że należy ostrzej i skuteczniej działać propagandowo?

- Gdyby wszyscy myśleli jak ja - nie byłoby problemu. Robię co do mnie należy. Przekazuję informacje... Ktoś się ze mną nie zgadza, ale ja mimo wszystko robię to, co sobie gdzieś na samym początku zapromowałem. Ten program realizuję. Straszna rzeczą jest, że przy potwornej ilości pracy wyniki są mierne. To czasami człowieka załamuje. Przychodzą na mnie dwie, trzy godziny kryzysu. Są ludzie, u których kryzys trwa parę dni i dłużej.

- Czy w pana zakładzie pracy jest wystarczająca ilość bibuły?

- Jest, ale nie mogę powiedzieć, że jest dobrze. Generalnie jest bardzo mały procent dojścia naszej informacji do społeczeństwa - myślę w tym momencie także o zachodnich rozgłośniach. Życzyłbym sobie, żeby latał nad nami taki duży, okrągły i nadawał. Wówczas włącam sobie i co tydzień słucham audycji radia "Solidarność". To jest jedyne rozwiązanie, bo audycja dotrze wszędzie. Ciągłe słyszę, że lada chwila będzie, że zawieszą, ale nie ma.

- Jakie są pana oczekiwania w stosunku do biura "S" Milewskiego i w ogóle w stosunku do "Solidarnościowej" emigracji?

- Niezbyt dobrze wiem jak wygląda tam praca. Z tego co wiem - to

nie jest najlepiej. Rozwiązaniem są, jak sądzę, kontakty: zakład pracy polski - zakład pracy zachodni, ale nie na zasadzie, że czapa spotka się z czapą. To ma być normalna wymiana ludzi działających tutaj i tam.

- Jakie jest rozeznanie dyrekcji zakładu pracy w odniesieniu do działającej podziemnej "Solidarności"?

- Wiedzą o tym. Punktowo są nawet w stanie określić, ale nie mogą tego przekazywać dalej. Założmy, że donoszą, iż facet robi. Wzywają faceta na bezpieczną i co robi wezwany? Opowiada o tym, co dzieje się na terenie zakładu pracy. Opowiada o korupcji, złodziejstwie, pijaństwie itd. Rozpasanie doszło już do początków pełnej Apokalipsy. Dyrekcja woli więc nie donosić, bo pójdzie taki i znowu wszystko opowie. Sytuacja jest więc patowa.

- Chodzi mi o to, czy dyrekcja w jakiś sposób liczy się z podziemną "Solidarnością"?

- Od wprowadzenia wojny ludzie z dyrekcji mieli więcej strachu w portkach niż my.

- Czy potwierdzi pan opinię, że ideał nowego związkowca jest taki: złodziej, pijak i bumelant?

- W 70% tak jest.

- Jaki procent załogi należy do nowych związków?

- Gdzieś w granicach 20-30%.

- Czy jest tendencja do wzrostu ilości członków nowych związków?

- Wolno ich ilość wzrasta. Decyduje o tym przyznawanie pożyczek, przyjmowanie do pracy nowych, którzy się zapisują... Są też wydziały tzw. chłopo-robotników i ci należą.

- Czy dyrekcja liczy się z nowymi związkami zawodowymi?

- /śmiech/... niech to panu wystarczy.

- Czy na terenie zakładu pracy widoczni są ubecy?

- W niektórych zakładach są widoczni. W innych kamuflują się. Wszędzie są oddelegowani i pozorują robotę.

- Czy ich rola polega także na skłóceniu każdego z każdym?

- W ogóle jest taka polityka, żeby poróżnić, żeby był podział. Zaczyna się od tego, że preferuje się bardziej wydziały produkcyjne aniżeli usługowe, bądź odwrotnie. Potem wprowadza się różnice między poszczególnymi brygadami. Dalej między poszczególnymi pracownikami. Sprowadza się to do tego: dziel i rządź. Nie ma zasady: pracujesz - należy ci się. Ciągłe do tego zmierzamy, o to robimy ruch i to już jest działanie polityczne. Za to bezpieczeństwa bierze na przesłuchanie. Bywają takie wypadki, że ludzie wylatują za to z roboty. Preferuje się natomiast innych, którzy nie tylko powinni nie zarobić, ale być wyrzuceni za sabotaż. To jest to, co nazywam początkiem Apokalipsy - to staczanie się naszego społeczeństwa w dół.

- Atomizacja społeczeństwa to jest ideologiczna sprawa systemu.

- A dla mnie najważniejsza jest jedność. W naszym społeczeństwie potrzebne są lata, żeby to osiągnąć. My jednak uważamy, tzn. ja i mnie podobni, że wszystko jest do zmiany. Wierzmy w to i robimy.

## POLITYCZNE DMUCHANIE... \*)

Od pewnego czasu z lekkim dreszczykiem grzesznego podniecenia czytuję prasę rządową. W oczach pryncypialnej opozycji uprawiam w ten sposób kolaborację, lecz w gruncie rzeczy moja opozycyjność jest chyba wątpliwą jakością. Jestem na przykład zdania, że nie wszystko co czyni rząd pozbawione jest sensu i wymierzone w interesy większości. Bo nawet rząd postępuje niekiedy rozsądnie. To dla mnie jest zawsze przyjemnym zaskoczeniem. Tak więc od pewnego czasu interesuje mnie nudna zazwyczaj prasa rządowa.

Panna Kora, słynna gwiazda rocka i bożyszczce młodej generacji, mówi w wywiadzie prasowym, że bunt młodzieży staje się coraz gwałtowniejszy ponieważ "nasze życie stało się niemoralne, a etyka jest tylko pojęciem czysto filozoficznym, pozbawionym związku z naszą praktyczną egzystencją". Jest to sformułowanie, które w ustach piosenkarki rockowej brzmi dość osobliwie.

W innym wywiadzie dostojnik kościelny powiada - "Nie jest jasne, co u nas należy do polityki, a co nie... Wszystko, co dzieje się w dużej skali nosi charakter polityczny. Jeśli zaakceptować taki punkt widzenia to działalność prasy katolickiej także ma charakter polityczny. Idzie tu bowiem o kształtowanie życia i poglądów według rzymsko-katolickiego systemu wartości. Nie ulega kwestii, że to polityka..."

Wprawdzie nie jestem zbyt inteligentny, lecz jeżeli biskup i piosenkarka mówią coś takiego, to problem wymaga zastanowienia.

Od lat żyję w kraju realnego socjalizmu. Można tę rzeczywistość w rozmaity sposób opisywać i oceniać, ale to zadanie pozostawmy politologom. Nie jestem politologiem. Dobry Bóg nie odebrał mi jeszcze zdrowego rozsądku, nie muszę się puszcząć na tak ryzykowne przedsięwzięcie. Ale w ciągu wieloletnich doświadczeń zaobserwowałem pewną drobnostkę, która wydaje mi się typowa. Idzie o fakt, że realny socjalizm absolutnie wszystko upolitycznia, nie tylko nauki społeczne, nie tylko astronomię, ale także kupno butelki mleka.

Co do mnie, to chciałbym żyć możliwie najdalej od polityki. Ale dla komunistów, którzy Polską rządzą, polityka jest jedyną namiętnością, są oni polityką opętani. Sprawili, że polityka osacza człowieka na każdym kroku i wnika w jego życie osobiste. To odpowiada doktrynie, która przecież problemuje totalną pracobudowę człowieka. Właśnie dlatego, w realnym socjalizmie musi się nawet krowy doić w imię interesów klasowych. Przynajmniej teoretycznie...

To upolitycznienie miało w Polsce różne oddziaływanie, w zależności od zmiennego kursu oraz keptrysów władzy państwowej. Na przykład przed trzydziestu laty obowiązywała wyjątkowa czujność polityczna. Topless traktowano jako kontrrewolucję, wzorzyste krawaty jako wyraz imperialistycznego zagrożenia, a coca-colę jako narzędzie burżuazyjnych spisków. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Seks wyemancypował się, i nawet brutalny erotyzm nie stanowi już zagrożenia. Dostojnicy państwowi piją whisky i coca-colę, a nawet grywają w brydża, co w czasach stalinowskich równało się sprzysiężeniu przeciw klasie robotniczej.

Dzisiaj biskupi i piosenkarki mają prawo stawić pod znakiem zapytania socjalistyczną moralność. Domagają się przywileju kształtowania ludzkich poglądów wedle zasad innych niż oficjalne. Partia komunistyczna w Polsce już przed laty podjęła pewien doktrynalny eksperyment. Uznała mianowicie, przynajmniej w teorii, prawo obywateli do

innego światopoglądu. Ale jednocześnie proklamowała, że światopogląd nie ma nic wspólnego z polityką. Moim skromnym zdaniem jest to próba rozwiązania kwadratury koła. Ale w tej intelektualnej grze, jaką komuniści usiłują prowadzić ze społeczeństwem, są jeszcze inne objawienia. Władza państwowa głosi na przykład pogląd, że pisarz powinien zajmować się społecznymi konfliktami i swój talent oddawać w służbę pałacyom problemom współczesności - ale w żadnym razie nie powinien mieszać się do polityki. Ponieważ polityka jest polityką, a literatura jest literaturą... Człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak tylko zaplikać ze szczęścia w obliczu takiej semantycznej wynalazczości.

Przez całe życie zajmuję się pisaniem. Na domiar złego wychowałem się na wielkich dziełach polskiej literatury. To szczególna literatura, ponieważ los Polaków był szczególny. Jak wiadomo, Polacy dzięki harmonijnej współpracy Rosji, Prus i Austrii, przez cały wiek XIX byli obrabowani z własnego państwa. Wszystkie polskie grzechy i cnoty są następstwem tego okaleczenia naszego narodu.

W tamtej epoce wytworzyły się charakterystyczne rysy naszej tożsamości. Świadomość narodowa jest ściśle związana z katolicyzmem. Nie idzie tu o problem tęsknot metafizycznych, ale o duchową przynależność Polaków do świata zachodniego, o związek polskości z chrześcijańskim poglądem na świat i człowieka. Drugim istotnym rysem Polaków jest fakt, że suwerenność kultury stawiają ponad wszystkimi innymi czynnikami suwerennej egzystencji społeczeństwa.

Jest to zrozumiałe. Obrabowany z własnego państwa, poddany obcej, wrogiej władzy, naród chronił swoją odrębność i pielęgnował związki z ojczyzną tam, gdzie było to możliwe. A było możliwe w kościele i w literaturze. W kościele Polak modlił się po polsku i odnajdywał solidarną wspólnotę z rodakami. W literaturze podkreślał swą kulturalną odrębność i pielęgnował swoje marzenia, aspiracje i mity. Kościół i literatura były wówczas dla Polaków jedyną dostępną ojczyzną. W XIX wieku nie mieli swoich królów, wodzów i mężów stanu. Ale mieli swoich poetów i przekazali im rząd dusz. Naturalnie musiało to oddać literaturę na służbę narodowych i społecznych problemów, musiało to ją też zubożyć na innych obszarach. Wielkie metafizyczne lęki istoty ludzkiej, a także subtelna analiza psychologiczna znalazły się na marginesie problematyki pisarskiej. Nie mieliśmy ani Dostojewskiego, ani Flauberta. Mieliśmy proroczych wieszczów jak Mickiewicz lub wspaniałych narratorów narodowej przeszłości, którzy jak Sienkiewicz, pisali "dla pokrzepienia serc".

Ale właśnie dlatego nasza literatura była zawsze polityczna i zawsze zajmowała się pałacymi konfliktami narodu. Naród ze swojej strony oczekiwał od pisarzy wzorów postaw ludzkich i obywatelskich, moralnych i politycznych drogowskazów.

Literatura francuska roi się od kuszących i podniecających kobiet. W literaturze polskiej jedyną przekonującą postacią kobiecą jest Polska. Niekiedy jest ona ukochaną matką, której należy synowski szacunek. Niekiedy jest kapryśną kochanką, dla której trzeba cierpieć i umierać. Bywa też czasem nieznośnym babskiem, któremu od czasu do czasu trzeba pokazać twardą, męską rękę. Ale ojczyzna zawsze jest w literaturze obecna...

Od pewnego czasu literatura polska wykazuje coraz mniej kreatywności. Pisarze rzadko odwołują się do siły swej artystycznej wyobraźni. Natomiast coraz częściej literatura staje się zapisem protestu oraz moralnych, ideologicznych i politycznych postaw, poglądów i ocen - zarówno własnych jak społecznych. Zapewne jest to proces o szerszym zasięgu, nie tylko polski. Jednakże w Polsce odpowiada on oczekiwanom opinii, która stale domaga się od pisarza zaangażowania w narodową i społeczną problematykę swego czasu.

W świecie, gdzie polityka stanowi jeden z elementów życia zbioro-

wego, taki rodzaj upolitycznienia może być radością lub troską czytelników oraz zawodowej krytyki. Lecz w świecie realnego socjalizmu, gdzie z powodu oficjalnej doktryny oraz praktyki państwa polityka jest wszechobecna - nawet taka literatura, która ogranicza się tylko do problematyki etycznej, staje się wyzwaniem dla władzy państwowej.

W starych, demokratycznych krajach, dzięki potężnym instytucjom życia zbiorowego, pluralistyczne poglądy społeczeństwa mogą się rozmaicie manifestować. Cóż jednak pozostaje społeczeństwu, która takich instytucji nie posiada? Czy rzeczywiście tylko niepokoje uliczne i podziemna publicystyka, z natury rzeczy okaleczona przez konieczność aktualności i agitacyjności?

Każda ludzka wspólnota zmierza do pluralizmu. Jest to przyrodzone prawo człowieka i jego duchowego rozwoju. Jednoś poglądów może panować tylko na cmentarzu, albo tam, gdzie ich w ogóle nie ma. Ludzie mogą być zgodni w stu sprawach, ale pozostanie jeszcze mimo to tysiąc innych spraw, w których nie będą zgodni.

Ostatnie wydarzenia w Polsce wokół sprawy zamordowania księdza Popiełuszki uważam za bardzo znaczące, właśnie z powodu tego tragicznego, skupionego spokoju, który panuje w społeczeństwie. Rozumni ludzie, nade wszystko biskupi polscy, uczynili wszystko co w ich mocy, aby ból i gniew narodu nie popchnęły setek tysięcy ludzi do rozpacz. Zapewne, rząd pragnął tego samego, postępował jednak niezręcznie, posługując się głównie ministrem Urbanem. W przeszłości Jerzy Urban znakomicie spełniał swoje zadania jako autor kryminalno-erotycznych felietonów w pewnym popularnym tygodniku. Zdobył sobie sławę dowcipnego gawędziarza pośród czytelników, którzy rekrutowali się głównie z kręgu klienteli bazarów i magli parowych. Jestem pełen uznania dla tego zgrabnego humorysty, który pod różnymi pseudonimami bewił czytelników historyjkami o włamaniach, gwałtach, nadużyciach i zdradach małżeńskich. Jednakże groteskowy fakt, że kryminalny i kabaretowy autor wyraża i komentuje politykę rządu, stał się w świetle ostatnich wydarzeń groteską krwawą i przerażającą.

Chciałbym wyjaśnić pewien drobiazg. Nie mam zamiaru zmieniać w Polsce systemu, z tego mianowicie powodu, że tego rodzaju próbę uważam za nierealną i w swych następstwach szkodliwą dla narodu. Akceptuję rzeczywistość jaka została mi dana przez los, choć jej wcale nie wybierałem. Ale nie muszę akceptować wszystkich jej elementów. Być może przedstawicielom władzy państwowej wydaje się, że oni i tylko oni ucieleśniają i symbolizują system, jaki w Polsce panuje. To jednak złudzenie. Dla każdego funkcjonariusza byłoby wygodne, gdyby krytyka jego osoby równała się próbie zamachu na państwo. Jest to stare, piękne marzenie wszystkich wielkich i małych despotów.

Jestem legalistą i trzymam się przepisów prawa. Konstytucja mojego kraju nie nakłada na mnie obowiązku miłości do ministra Urbana lub premiera Jaruzelskiego. Rząd nie musi mnie kochać, ja nie muszę kochać rządu. Jak z tego widać, nie uprawiam żadnej polityki, lecz zajmuję się wyłącznie moimi stanami uczuciowymi. Miłość lub jej brak, to przecież wieczny temat literatury... Ponieważ jednak czuję się stary i znużony, przeto życzę sobie odrobiny spokoju. Może więc odstąpię przywilej publicznego krytykowania rzeczywistości piosenkarce rockowej, a sam zasiądę do pisania powieści o rockowej piosenkarce?

Byłoby to jednak pozorne rozwiązanie dylematu, by sztuka i literatura w Polsce stały się niepolityczne. Niedawno reżyser Feliks Falk nakręcił film pod tytułem "Był jazz...". Czy jazz jest problemem politycznym? Otóż w realnym socjalizmie był kiedyś dla polityki ważnym problemem. Rozwijał się w podziemi. I tak oto powstał niebywale polityczny film. Przez dwie godziny młodzi ludzie na ekranie dmuchają w trąbki i saksofony, a każdy widz stawia sobie pytanie czy oni dmuchają "za", czy może raczej dmuchają "przeciw"? Chciałbym dożyć czasów, kiedy ważne będzie tylko pytanie - j a k oni dmuchają.

Ale żeby tego dożyć, trzeba wyjaśnić co dzisiaj w Polsce znaczy "za" i co znaczy "przeciw". Musi się mianowicie uznać prosty fakt, że protest przeciwko sposobom wykonywania władzy w żadnym razie nie stanowi próby usunięcia panującego systemu. Jak długo ten prosty fakt będzie negowany przez władze państwowe, jak długo każdy sprzeciw, każdy głos krytyki, każdy protest przeciw amoralności, obłudzie, głupocie i arogancji rozmaitych szczebli władzy równać się będzie w oczach rządu zamachowi na państwo, tak długo konflikt pomiędzy literaturą i władzą, pomiędzy społeczeństwem i władzą - będzie się zastrzeżać i przybierał gwałtowne formy.

Sądzę, że rząd życzy sobie szczerze normalizacji, a może nawet porozumienia. Sądzę, że olbrzymia większość Polaków także sobie tego życzy. Ludzie są wyczerpani bezowocnością swych wysiłków, klimatem beznadziejności w społeczeństwie i bezradności w kręgach establishmentu. Jednakże normalizacja i prawdziwe porozumienie są możliwe tylko pod warunkiem, że władza państwowa nauczy się pokory i zacznie się zachowywać jak sługa narodu.

Jest doprawdy zdumiewające, jak niewiele trzeba, aby Polacy okazali władzy jeśli nie sympatię, to w każdym razie wielkoduszność, a nawet odrobinę zaufania. Myślę, że w dniach żałoby po śmierci księdza Popiełuszki wystarczyłoby, gdyby rząd ukazał normalną, ludzką twarz, gdyby wyszedł poza ramy biurokratycznego protokołu, gdyby razem z narodem wziął udział w żałobie. Polacy czekali na taki gest z nadzieją i determinacją.

Każdy zatroskany człowiek ma prawo spytać, czy panom generałom było tak daleko na ten pogrzeb, na który przybyły setki tysięcy ludzi z całego kraju? Czy rządowi zabrakło pieniędzy na opłacenie kondolencyjnej depechy do rodziców zamordowanego kapłana i jego kościelnych zwierzchników? Czy prasa rządowa, która potępiła morderstwo, nie miała miejsca na fotografię człowieka, który bądź co bądź stał się bohaterem narodowym? Czy było rozumne i moralne zarzucać przyjacielom ofiary, że ich lzy są fałszywe, ich żal faryzejski a ich potępienie morderstwa jest polityczną prowokacją?

Mamy tu do czynienia z klasycznym przykładem podwójnego myślenia, gdzie nie jest ważne co się mówi, lecz tylko kto to mówi. Partyjny tygodnik "Polityka" podejmuje od czasu do czasu krytykę różnych działań rządu - i to jest dozwolone. Ale kiedy katolicki "Tygodnik Powszechny" robi to samo łagodniej i bardziej elegancko, natychmiast spuszcza się z łańcucha sferę dyspozycyjnych dziennikarzy, żeby strzępili nogawki redaktorom "Tygodnika Powszechnego". Byłyby to tylko żałosne i komiczne popisy, gdyby nie tworzyły duchowego klimatu, który czyni porozumienie niemożliwym nawet w najprostszyc

ANDRZEJ SZCZYPORSKI

Od redakcji:

Powyższy artykuł ukazał się na łamach "Frankfurter Allgemeine Zeitung" z dnia 9 grudnia ub.r. roku w przekładzie niemieckim Klausa Staeblersa. Redakcja dokonała tłumaczenia na język polski, pomijając śródtytuły zawarte w tekście niemieckim.

\*) Tytuł pochodzi od redakcji.



# JÓZEF MACKIEWICZ

(1902 – 1985)

31.1.1985 roku w Monachium zmarł Józef Mackiewicz. Można jeszcze dodać: jeden z największych pisarzy polskich. Bronię się jednak przed tym stwierdzeniem, gdyż brzmi ono zbyt patetycznie i zawsze, chcąc nie chcąc, wzbudza u czytelników jakiś nieokreślony wewnątrzny sprzeciw. Więc wypowiadam je sam, po cichu, nie afiszując się z nim. Zdaję sobie sprawę, że sąd ten może wywołać również zdziwienie, gdyż nawet spora część magistrów filologii polskiej pierwszy raz usłyszy nazwisko Józefa Mackiewicza. Czy będzie to świadczyło o ich ignorancji, czy już tylko, po raz kolejny, o zadziwiającej skuteczności wymazywania z świadomości społecznej pewnych faktów, książek, ludzi? Podobna sytuacja zaistniała w przypadku Czesława Miłosza. Dopiero nagroda Nobla pozwoliła mu zaistnieć w szkolnych podręcznikach. Józef Mackiewicz nagrody Nobla niestety nie otrzymał, choć kandydował do niej, zgłoszony przez grupę studentów jednego z amerykańskich uniwersytetów.

Nawet okres istnienia "Solidarności" nie pomógł mu w znalezieniu furtki do czytelnika w kraju a i wcześniej większość nakładu wydanej przez NOWĄ powieści "Kontra" została skonfiskowana przez SB. Gdy w prasie literackiej w roku 1981 rozpoczynała się dyskusja, próbująca przywrócić oficjalnemu obiegowi literackiemu dorobek literatury emigracyjnej, krytycy prawie zgodnym chórem wykluczali możliwość wydania książek Mackiewicza jako "godzących w system".

Mackiewicz nie miał szczęścia do literackiej publiczności. W środowisku emigracyjnym ilość pomówień dotyczących jego wojennej przeszłości, bezkompromisowa i konsekwentna postawa, przysparzały mu więcej wrogów niż entuzjastów. Rezultatem tego stało się osamotnienie pisarza. Pozostawiony poza marginesem polskiego życia emigracyjnego mieszkał z najwierniejszą towarzyszką życia - także pisarką - Barbarą Toporską w Monachium. Żyli bardzo skromnie, żeby nie powiedzieć w biedzie. Mackiewicz nie łatwo znajdował mecenasów i wydawnictwa decydujące się na wydanie jego książek. Najwięcej wydań i najwięcej sławy przyniosła mu, tłumaczona na wiele języków, relacja z pobytu w Katyniu w okresie odkrycia grobów polskich oficerów, książka pt. "Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów". Zdarzało się jednak, że koszt wydania niektórych pozycji, szczególnie publicystyki politycznej, uchodzącej za najbardziej kontrowersyjną /nota bene cieszącej się spora popularnością w ostatnim okresie w Polsce/ musiały pokrywać sam lub z dotacji osów prywatnych. Dopiero przyjaźń z przebywającymi od 1986 roku w Londynie Szymonem Szechterem i Niną Karsow doprowadziła do szerszej publikacji jego książek w wydawnictwie "Kontra". W ostatnim czasie wydawnictwo to wznowiło prawie wszystkie tytuły, nie broniąc się również przed publicystyką polityczną. Najwybitniejszą jednak spuścizną literacką Mackiewicza stanowią powieści, a szczególnie "Kontra", "Droga do nikąd" i "Nie trzeba głośno mówić". Pierwsza z nich jest wstrząsającą historią kozackiej rodziny, od czasu rewolucji październikowej, przez tragiczny splot wydarzeń z okresu drugiej wojny światowej, do deportacji resztek oddziału kozackich do Związku Sowieckiego przez rząd brytyjski, co równało się wydaniu na nich wyroku śmierci. Akcja dwóch pozostałych: "Drogi do nikąd" i "Nie trzeba głośno mówić" rozgrywa się na Wileńszczyźnie w okresie okupacji sowieckiej a później hitlerowskiej. Główny temat większości powieści Mackiewicza to dramat ludzkiego losu, podlegającego prawom narzuconym przez bezdusznego i władczego boga - boga historii.

Barbara Toporska w przedmowie do ostatniej książki Mackiewicza "Fakty, przyroda i ludzie", będącej zbiorem rozproszonych w prasie

emigracyjnej opowiadań, napisała, iż jest to książka będąca wielkim requiem "nie tylko dla kraju i jego mieszkańców z resztki po Wielkim Księstwie Litewskim, ale także requiem dla tych szczątków przyzwoitości, jakie pozostawił po sobie wiek XIX. Ów wiek najfatalniejszych filozofów i najszlachetniejszych zasad postępowania". Myślę, że stwierdzenie to można odnieść do całej twórczości Mackiewiczza. Jest ona przykładem niespotykanej już dzisiaj konsekwencji i wierności wyznawanym przez samego siebie zasadom i przekonaniom.

Mackiewicz zmarł w samotności, tak jak żył. Przez ostatnie dwa lata groziło mu przeniesienie wraz z żoną do domu dla starców. Prawdziwą pociechą stały się dla niego nadchodzące z kraju wiadomości o zainteresowaniu jego pisarstwem i kolejne egzemplarze jego powieści, wydawanych przez nieoficjalne wydawnictwa. I być może były to jedyne dobre wiadomości dochodzące do niego od wielu lat.

KAMIL KRAK

## „OD WAS, BRACIA WŁOŚCIANIE ...”

"Bolszewicy runęli na nasze ziemie i wdarli się już do naszych miast i wsi, niosąc zniszczenie i zagładę dla państwa i niewolę dla ludu. Oni, którzy głosili, że uznają prawo każdego narodu do niepodległego bytu, wdzierają się coraz dalej do naszego kraju, aby nas ujarzmić, zwalić pod swoje stopy, narzucić nam swoje rządy, które z potężnej Rosji zrobiły pustynię. Od Was, Bracia Włościanie, zależy, czy Polska będzie wolnym państwem ludowym, w którym lud będzie rządził i żył szczęśliwie, czy też stanie się niewolnicą Moskwy. Czy będzie się rozwijać w wolności i dobrobycie, czy też będzie zmuszona pod batem władców Rosji pracować dla najeźdźców i żywić ich swoją krwią i znojem".

Jest to fragment odezwy premiera Wincentego Witosa do włościan - 30 lipca 1920 r. /Monitor Polski, 2 sierpień 1920, Nr 172/. I stało się jak przewidywał Wincenty Witos, co prawda nie w 1920 roku, ale w dwadzieścia pięć lat później. Ten bat władców Rosji, o którym mowa w odezwie, odczuwamy wszyscy świadomie lub mniej świadomie. Składa się on z wielu rzemieni; każdy z nich służy czemu innemu, a wszystkie razem zniewoleniu.

I znowu odwołam się do cytowanego fragmentu odezwy do włościan: "Od Was, Bracia Włościanie zależy, czy Polska będzie wolnym państwem ludowym, w którym lud będzie rządził i żył szczęśliwie". Dziś, po sześćdziesięciu czterech latach po opublikowaniu tej odezwy, w tym cytacie należy zmienić tylko jedno słowo: "Od Was, Bracia Polacy...".

Tak, od nas, bracia Polacy zależy, jaka będzie Polska Ludowa - nie ta obecna, ale ta, o jakiej marzył Wincenty Witos i pokolenia Polaków. Dlatego też musimy być szczególnie czujni na zjawiska, które nas otaczają. Obecne metody zniewalania zmieniły się. Nie jest to już tylko zwykły bat i gwałt fizyczny; jest to wyrafinowany arsenał środków psychologiczno-socjologicznych poparty aparatem technicznym, obrócony przeciwko ludziom. Jedną z metod tego arsenału jest skłócenie, czy jak kto woli: nاپuszczanie jednej grupy społecznej na drugą, a także skłócanie wewnątrz grupowe.

Klasycznym przykładem tej metody jest ciągła próba skłócania wsi z miastem. W ciągu 40-lecia Polski Ludowej przybierała ona rozmaite formy, od oficjalnej propagandy, np. walka z kulactwem, parcie chłopów do wzbogacenia się, nieuzasadnione żądania podwyżek cen skupu,

po szeptaną propagandę, np. "chamy pchają się do miasta" z jednej strony; z drugiej oficjalne podkreślanie wartości pracy robotnika i jej gloryfikacja, np. stachanowcy, podkreślanie rzekomej pogardy dla rolnika przez ludność miejską itp.

Ta świadoma działalność władzy trafia na podatny grunt zarówno na wsi, jak i w mieście, zwłaszcza w obecnej sytuacji gwałtownego kryzysu, który sam z siebie wywołuje uzasadniony niepokój każdego, gdyż każdy odczuwa na sobie skutki 40-letniej nieudolności władzy i co najgorsze, nie widzi możliwości rozwiązania skomplikowanej sytuacji ekonomicznej przez obecnych władców Polski. Władzy natomiast podsyca- nie tych nastrojów jest potrzebne do usprawiedliwiania swojej nieudolności w zarządzaniu państwem. Można zważyć odpowiedzialność za złą organizację ekonomii kraju, na leniwo robotników lub rolników w zależności od potrzeb i okoliczności. Tym metodom należy się przeciwstawić, a jedyną drogą do ich zwalczenia jest zapoznanie się z warunkami życia zarówno ludności wiejskiej jak i miejskiej. Zdaje sobie doskonale sprawę, że na to, aby to poznanie było pełne, należałoby napisać tomy, niemniej jednak spróbuję w wielkim skrócie pokazać obecną sytuację polskiego rolnictwa.

Zasoby ziemi w Polsce 1970 roku wynosiły 19 543 tys. ha użytków rolnych, a w 1982 roku zmniejszyły się do 18 891 tys. ha, a więc o 652 tys. ha. Co roku ubywało 54 tys. ha.

W roku 1970 gospodarstwa użytkownicy 3 719 tys. ha, a w 1982 już 4 575 tys. ha, czyli ich obszar wzrósł o 865 tys. ha. Natomiast zasoby ziemi chłopskiej zmalały w ciągu 12 lat z 15 833 tys. ha do 14 316 tys. ha, to jest o 1 517 tys. ha. Utrzymanie takiego tempa przejmowania ziemi chłopskiej przez gospodarstwa państwowe, a więc o 126 tys. ha rocznie doprowadzi do całkowitej likwidacji gospodarstw chłopskich w ciągu 116 lat. Poza tym wzrost ludności w Polsce oraz ciągłe wypędanie użytkowników rolnych z produkcji spowodowało spadek ilości ziemi na 1 mieszkańca z 0,60 ha do 0,52 ha /dla porównania na jednego mieszkańca przypada: Holandia - 0,14 ha, RFN - 0,20 ha, Włochy - 0,31 ha, W. Brytania - 0,33 ha, NRD - 0,38 ha, Czechosłowacja - 0,45 ha, Francja - 0,51 ha, Węgry - 0,61 ha. Trzeba przy tym pamiętać, że w porównaniu z krajami europejskimi, jeśli chodzi o wydajność z ha, zajmujemy obecnie zaszczytne ostatnie miejsce/.

Przejmowaniu chłopskiej ziemi przez sektor państwowy służy cały szereg ustaw jak i zarządzeń oraz działań społeczno-ekonomicznych, jak np. ustawa o rentach i emeryturach. Powiada ona, że rolnik po dośrodku do wieku emerytalnego, po uprzednim przymusowym opłaceniu składki emerytalnej, chcąc otrzymać emeryturę musi oddać całe gospodarstwo wraz z budynkami państwu lub następcy, a dopiero wtedy nabywa prawa do świadczeń pieniężnych maksimum 6 000 zł oraz prawo do mieszkania w byłym własnym domu jako lokator. Około 60% rolników przechodzących na rentę emerytalną nie posiada następcy.

W 1982 roku sprzedano części zamiennych do maszyn rolniczych wartości 40 332 mln zł, z czego gospodarce uprzemysłowionej za 33 249 mln zł /82,4%/ a rolnikom indywidualnym za 7 083 mln zł /17,6%/. Analiza kosztów materialnych produkcji rolnej potwierdza dyskryminację rolnictwa indywidualnego - dane z 1982 r. w mld zł:

	Prod. glob.	%	Koszty mat.	% p.glob.	Prod. czysta	%
Gospodarstwa uspoł.	317,7	21,4	264,8	85	46,9	7,4
Rolnicy indywidualni	1 349,8	78,6	764,5	56,6	585,3	92,6

Jak z powyższej tabeli wynika, koszty materiałowe w sektorze państwowym wynoszą 85% wartości produkcji, przy wskaźniku produkcji globalnej 7,4%, gdy rolnik indywidualny, gospodarujący jeszcze na 76%

arealu wytwarza 92,6% produkcji zysłej rolnictwa przy kosztach materiałowych 56,6%.

Pomimo dyskryminacyjnej polityki państwa w stosunku do indywidualnego rolnika obserwuje się stały wzrost produkcji chłopskiej. W zasadzie rolnictwo jest jedyną gałęzią ekonomii kraju, wskazującą wzrost produkcji do 105% w roku 1982, 108,2% w roku 1983 w porównaniu z rokiem 1980. W tym czasie obserwuje się spadek produkcji w PGR-ach do 97,7% a w spółdzielniach produkcyjnych do 75,8%. W tym miejscu należy dodać, że w sektorze uspołecznionym w tym czasie wartość środków trwałych wzrosła o 1/4 /80-82/ i jest czterokrotnie wyższa w przeliczeniu na 1 ha użytków rolnych od gospodarstw indywidualnych. W tym momencie należy przypomnieć, że ustawa rządu z dniem 31 grudnia 1982 r. zawieszono płatności kredytowe zarówno odsetek bieżących jak i kapitału w sektorze uspołecznionym na czas nieokreślony. Zadłużenie to wynosiło 260 478 mln zł na dzień 31.XII.81, w gospodarce indywidualnej 116 641 mln zł. Liczby te i fakty nie wymagają komentarza.

Mówiąc o rolnictwie indywidualnym należy pamiętać o jego strukturze i faktach z tego wynikających.

Struktura gospodarstw chłopskich:

0,5 - 2 ha	- 30%	7 - 10 ha	12,9%
2 - 5 ha	- 29,3%	10 - 15 ha	9,8%
5 - 7 ha	- 12,7%	15 i więcej	5,3%

Naturalnie struktura ta jest inna w różnych województwach, np.:

	0,5 - 2 ha	2 - 5 ha
m.Kraków	56,4	34,8
Bielskie	57,1	33,8
Kieleckie	23,7	40,5
Katowickie	67,2	21,8
Siedleckie	14,9	29,3
Bydgoskie	29,7	17,2
Poznańskie	37,1	15,6

Specjalnie zacytowałem te dwa przedziały, gdyż poza specjalnymi działami rolnictwa, jak ogrodnictwo i różne odmiany sadownictwa, gospodarstwa te nie są obecnie znaczącym partnerem w produkcji globalnej. Są one natomiast zaprzeczeniem idei reformy rolnej: "Ustrój rolny w Polsce oparty będzie na silnych, zdrowych i zdolnych do wydajnej produkcji gospodarstwach stanowiących prywatną własność ich właścicieli" /Dz.U.Rady Państwa, 15 sierpień 1944/, gdyż w efekcie wadliwego i typowo politycznego jej charakteru zwiększyła ona rozdrobnienie zamiast go zmniejszyć. Na terenie byłego zaboru austriackiego rozdrobnienie zwiększyło się o 15% w porównaniu do roku 1900. W 1981 roku gospodarstw w przedziale 0,5 do 5 ha było 1.699.538. Z dużym prawdopodobieństwem można określić, że tylko 10% tych gospodarstw to gospodarstwa produkcyjne. Reszta to gospodarstwa chłopo-robotnicze, pracujące głównie na samozaopatrzenie.

1980	Wartość produkcji	Koszty	Zysk
0,5 - 3	84.600	66.800	17.800
3 - 7	172.300	133.600	38.700
7 - 10	249.600	196.300	53.300
10 - 15	355.600	275.600	80.000
15 i więcej	475.700	376.300	99.400

Cytowana wyżej za rocznikiem statystycznym tabela potwierdza, że tylko 10% gospodarstw z przedziału do 5 ha daje produkcję, ale zarazem pokazuje jak wygląda stosunek wartości produkcji do kosztów i zysków. Naturalnie, jest to statystyka. Należy tylko te dane porównać z rzeczywistością i wtedy obraz wsi będzie pełny. Około 10% go-

spodarstw chłopskich we wszystkich przedziałach arealowych to gospodarstwa zamożne, 25% to gospodarstwa średniozamożne, natomiast w 60% gospodarstw chłopskich co najmniej jedna osoba pracuje poza rolnictwem i niejednokrotnie jej pensja, a nie dochód z gospodarstwa jest głównym źródłem utrzymania rodziny.

Sądzę, że te kilka liczb, z komentarzem niekoniecznie najlepszym, pozwoli spojrzeć na problem wsi trochę innymi oczyma, gdyż nieprawdą jest, że wieś nie chce produkować. Nieprawdą też jest, że wieś ma za dużo pieniędzy, jak twierdzi minister Nieckarz i profesor Stec-Machowski. A tak po prostu, nie dajmy się zwariować i napuszczać jedni na drugich. Gdyż prawda jest jedna. Nie służy to tym celom, o których marzyły i marzą masy Polaków, w tym chłopów Polskich. A celem tym jest "wolne państwo ludowe, w którym lud będzie rządził i żył szczęśliwie".

Gabriel Pierocki

## SPRAWY ZWIĄZKOWE

W rubryce tej zamierzamy prezentować teksty poruszające złożoną problematykę podziemnej "Solidarności". Ma to być swego rodzaju wolna trybuna. Nie widzimy powodu, by nie miały się tutaj ukazywać nawet najbardziej kontrowersyjne teksty. Niemniej, jako redakcja, zostawiamy sobie prawo do wyrażenia własnego stanowiska. Inaugurują rubrykę głosy dotyczące stosunku Związku do wchodzenia, bądź nie w "struktury legalne".

### Realści i ideałści

Ogłoszenie przez Lecha Wałęsę i TKK decyzji przeprowadzenia 15-minutowego strajku protestacyjnego, w trzy lata od chwili rozbitcia obozu rewolucyjnego jakim była NSZZ "S" i pozostałe struktury niezależne, zrodziło zapewne u niejednego działacza pytanie, jeśli już nie o sens, to przynajmniej o możliwości przeprowadzenia tej akcji. Poza poczuciem dyscypliny, warunkiem niezbędnym jakiegokolwiek zorganizowanego działania, istotną rolę odegrają niewątpliwie zarówno dotychczasowe doświadczenia osobiste i organizacyjne danego działacza, jak i posiadane przez niego rozeznanie "materiałnego" stanu świadomości środowiska, w którym mu przyjdzie tę akcję przeprowadzić. To ostatnie wynika ze stopnia poinformowania pochodzącego z osobistych kontaktów, związkowej prasy podziemnej, jak i dostarczonych mu wyników badań ankietowych.

W tej wyliczance przesłanek dla podjęcia określonej indywidualnej decyzji brak jest bodaj czy nie najistotniejszego czynnika - stopnia zrozumienia samego siebie i swojego miejsca w zagmatwanym świecie zjawisk społecznych i politycznych jakich jesteśmy świadkami w PRL-owskiej rzeczywistości lat ostatnich.

Próby mniej czy więcej naukowej analizy tej rzeczywistości, poza zakłamaną frazeologią Siwaków i Jaruzelskich, są bardzo nieliczne, a te, które są, praktycznie nie funkcjonują w powszechnym obiegu naszego podziemia. Efekty tego są widoczne choćby w konkretnych posunięciach rozmaitych ciał związkowych, efekty niekorzystne oczywiście, ale "o tym - po tym".

W oficjalnym obiegu ukazała się praca Piotra Pacewicza, pt. "Pomiędzy myślą a rzeczywistością. Rewolucja społeczna jako zjawisko psychologiczne" /Ossolineum 1983 r./. Sam tytuł tłumaczy poniekąd zawartość, praca jest bowiem próbą opisu psychologicznych uwarunkowań ludzi biorących udział w procesie rewolucyjnym, zarówno w okresie powstania ruchu, jego "święta", jak i po rozbiciu ruchu przez kontrrewolucję. Przy założeniu, że traktujemy zjawisko NSZZ "S" jako ruch rewolucyjny, zawartość tej pracy "pasuje jak ulał" do naszych potrzeb. Wprowadzone zresztą w niej pojęcia nie są tak zupełnie obce. Podział na pragmatyków i fundamentalistów funkcjonował w naszym Związku co najmniej od okresu poprzedzającego Zjazd w Olivii, a temu to podziałowi odpowiadają z grubsza pojęcia regulacji realistycznej i idealistycznej, wprowadzone przez Pacewicza w jego pracy, regulacji odpowiedzialnej za postawy i działania członków ruchu rewolucyjnego. Po grudniu 81 analiza zjawisk w obrębie NSZZ "S" praktycznie zupełnie zanikła, zagłuszona zresztą przez niezwykle hałaśliwe grupy czy grupki "prawdziwych polityków" spoza Związku, którzy nagle poczuli, że wybiła ich godzina.

Wróćmy do Pacewicza. "Realistów" z jego podziału cechuje mniejsza skłonność do patrzenia na świat wyłącznie przez system wartości, minimalna choćby aproba istniejącego porządku społecznego, poszukiwanie możliwości zmian w systemie. U "idealistów" wyróżnia on postrzeganie świata przede wszystkim przez system wartości, co powoduje całkowite odrzucenie zastanego systemu, dążenie do jego zniszczenia, zwalczanie działań, które by ten system miały reformować. Ten upraszczający skrót poglądów autora nie stanowi jakiejś rewelacji, ale konieczny jest dla zrozumienia tego, co mówi on o sytuacji ruchu w chwili, kiedy siły wrogie doprowadziły do likwidacji obozu rewolucyjnego. Ruch taki nie ginie oczywiście od jednego uderzenia. Stanowi nadal pewien potencjał ideologiczny, psychologiczny, organizacyjny. "Realści" usiłują włączyć się do nowej "gry politycznej", poszukują partnerów dla ruchu, minimalizują rozbieżności wewnętrzne, lepiej diagnozują realia, idą na kompromisy. Mogą tym samym pójść tak daleko, że doprowadzą do całkowitego "rozpuszczenia" się ruchu w otoczeniu społecznym albo, przy braku możliwości wejścia w jakieś "układy", do zaprzestania wszelkiej działalności.

"Idealści" w sytuacji przegranej rewolucji formułują przede wszystkim program walki o przywrócenie ruchu. Postulowana lub prowadzona walka jest wyrazem afirmacji wartości podstawowych, których znaczenie jeszcze się nasila. Z ich to szeregów wychodzą oskarżenia o "błędy" popełnione w okresie sprzed likwidacji ruchu, oskarżenia prowadzące często do rozbięcia jedności ruchu.

Przy sztywnej postawie sił konserwatywnych, a taką mamy w realiach PRL-owskiej normalizacji, strategia "realistyczna" albo jest bez szans, albo będzie nieskutecznym narzędziem działań politycznych. Strategia "idealistyczna", cenna przez fakt utrwalenia systemu wyznaczonych wartości, prowadzi zaś do osłabienia społecznej apatii. Obie są więc mało obiecujące. Autor sugeruje przyjęcie strategii określonej przez niego jako "realistyczna w wersji radykalnej". Oddajmy mu głos: "Ta postać wymaga po pierwsze perspektywicznego i złożonego "śmiałego" myślenia historycznego, oraz, ~~wo~~ drugie, programowania do różnych i krótkofalowych działań o pewnym stopniu skuteczności, które stanowiłyby realizację wartości ruchu w ramach istniejących organizacji, instytucji itp. Istotne jest zwłaszcza, żeby ruch społeczny zachował swą funkcję politycznego czy społecznego podmiotu, zdolnego do skutecznej /choć ograniczonej/ działalności pozytywnej. Taka droga wraz z typowym dla regulacji typu idealistycznego kultem wartości wydaje się najlepszym dziedzictwem społecznej rewolucji. Jej efektem może być wprowadzenie zmian społecznych zgodnie z interesem rewolucyjnych grup społecznych /zwykle większość społeczeństwa/, czy choć-

by osłabieniem tempa zmian kontrrewolucyjnych, sprzecznych z tym interesem. Nawet jednak wtedy, gdy wszelka kontynuacja działań rewolucyjnych prowadzi do nasilenie konserwatywnej reakcji, prowadzenie opisanego działania zdaje się dobrze służyć interesom społecznym. Prowadzi ona bowiem do wykształcenia postaw, w których poczucie ideowego /.../ uzasadnienia idzie w parze z wolą skutecznego działania społecznego. Konieczność takiego działania nie ginie wraz z upadkiem czy doraźnymi porażkami ruchu. Pozostaje program emancypacji społeczno-politycznej grup społecznych, które stanowiąły podmiot działań rewolucyjnych, z równą oczywistością jawi się nadal konieczność zmiany centralnych elementów ładu społecznego" /postulowana przez "idealistów"/. Tyle Pacewicz.

Jeśli chodzi o związkowe podwórko, to okres bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego cechował się zdecydowaną przewagą regulacji "idealistycznej". Po odtworzeniu struktur kierowniczych Związku pojawiły się decyzje i działania idące zarówno w jednym jak i drugim kierunku - analizę tych poczynań zostawiam czytelnikowi. Sam chcę się zająć analizą kierunku działania MKS Kraków, tak jak można go zinterpretować na podstawie treści piątego numeru "Zeszytów Związkowych", zatyłowanego "Działalność w strukturach legalnych" - uwagi i propozycje". Kraków 1984. Należy podkreślić na marginesie, że sama inicjatywa wydawnicza, zupełnie unikalna w naszym Związku, jak i widoczną wolą kontynuowania serii "Zeszytów Związkowych" godna jest uznania. Treść samego "Zeszytu" nie pozostawia wątpliwości: MKS Kraków opowiada się jednoznacznie za "realistyczną" metodą działania, wg podziału Pacewicza, przynajmniej gdy chodzi o sprawę samorządu pracowniczego w jego wersji radykalnej, za czym przemawiałyby próby wypracowania "kodeksu obywatelskiego" i zalecenia wycofania się z działalności z chwilą przekroczenia granicy możliwych kompromisów. Słabością "Zeszytu" i, wolno mniemać, myślenia politycznego MKS jest brak owego "perspektywicznego i złożonego śmiałego myślenia historycznego". W to miejsce mamy rzetelny co prawda wywód historyczny, tyle, że wstecz. Opisuje on proces dochodzenia "kręgów czytelników Kroniki Małopolskiej" do decyzji popierania wchodzenia w strukturę "legalne" jako efektu demokratycznego procesu opowiedzenia się "za" przez większość zainteresowanych. Kryje się za tym perswazyjna aluzja względem nieprzekonanych - "mniejszości" zdaniem autora "Zeszytu", ale w efekcie takie podejście zarówno nie wzbudzi rewolucyjnego zapału wśród "większości", a więc "realistów", jak i nie przekona "idealistów", spychanych do niezbyt wdzięcznej roli przeszkadzającej "mniejszości". Kolejnym momentem nieprzekonywującym są adresaci "Zeszytu-apelu", zamieszczeni w notce oredakcyjnej: sympatycy, członkowie i współpracownicy "S". Jeśli nasz ruch społeczny ma zachować "swą funkcję politycznego czy społecznego podmiotu" również w samorządach, to delegować winno się do nich przede wszystkim twardych i doświadczonych działaczy o wypróbowanej lojalności względem naszego Związku - sympatycami nie ma co sobie zwracać głowy.

Sprawa celów pracy w samorządzie - "działalność pozytywna" to jednak przede wszystkim dobijanie się roli współgospodarza w imieniu zatrudnionych pracowników. Rozumiem, że wypunktowanie na pierwszym miejscu walki o pluralizm związkowy jest rodzajem ukłonu w stronę "idealistów", którzy by chcieli się dać skusić do wejścia w ową strukturę "legalną", ale poza faktem postawienia niezwykle wysokiej poprzeczki dla działalności w samorządzie niewiele to daje.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. MKS jest strukturą terytorialną, ponadzakładową. Decyzje Lecha Wałęsy, PPK, jak i byłego RKW, na które powołuje się w "Zeszytach" Aleksander Bolesławski, dotyczyły szczerze zakładu pracy. Wpływ perswazyjny w zwartym zespole ludzkim, jakim jest zakład pracy, ma zupełnie inną wagę na przeciwnym biegu w jedną czy drugą stronę, niż ten sam mechanizm stosowany względem przedstawicieli tychże zakładów w ciele typu MKS. Uwzględnienie tego zjawi-

ska leżało zapewne u podstaw pozornie "niekonsekwentnej" decyzji TKK, pozostawiającej ostateczną decyzję - TKZ-tóm. Lech Wałęsa i TKK zakładają najwyraźniej, że struktury ponadzakładowe będą traktować oba elementy działalności związkowej: wchodzenie bądź bojkot za równoważne. Lektura "Zeszytu" pozostawia przekonanie, że co prawda zgodnie z realistyczną regulacją MKS Kraków nie antagonizuje "idealistów", ale też nie jest dla przedstawicieli tej grupy w zakładach żadną związkową pomocą!

Powozenie pojazdem zaprzężonym w tak niedobrą parę koni jest zapewne zajęciem niezwykle trudnym, ale trzymając się tego porównania - dopuszczenie by jeden z koni zdechł, nie jest postępowaniem racjonalnym. Zbliżający się strajk, klasyczna sytuacja, w której oba skrzydła mają do roboty idealnie to samo: "realiści" - bo jest to przykład działalności pozytywnej, zmierzającej do racjonalizacji PRL-owskiej gospodarki, "idealisci" - bo jest to element walki o realizację wyznawanych wartości - winien być tą sytuacją, która skłoni MKS Kraków do przeformułowania swojego programu tak, by nie tracąc wizji radykalnego realizmu pracować całym Związkiem. Nasza historia nie przyznała racji ani "Białym kontra Czerwonym" z 1863 roku, ani "niepodległościowcom kontra lojalistom" z przełomu wieków, by ograniczyć się do tych przykładów.

Marian Krawczyk

Od redakcji:

W cytowanym już przez nas opracowaniu badań ankietowych /B.D.nr 1/ "Naród - Solidarność - Komunizm" znaleźliśmy dane odnoszące się do problemów poruszonych w powyższym tekście. Przytaczamy je, bowiem badania przeprowadzone przez Niezależne Centrum Badania Opinii Społecznej są najświeższymi na ten temat - połowa 1984 roku.

Odnosnie bojkotu samorządu pytania ankiety brzmiały:

Jak ci wiadomo TKK NSZZ "S" początkowo zalecała bojkotowanie samorządu, potem pozostawiła TKZ "S" decyzję o możliwości włączenia się do działalności samorządu w zależności od jego sytuacji w zakładzie. Jakie stanowisko winna zająć TKK w sprawie wyborów do nowych samorządów, gdy będą one ogłoszone?

Wiek	do 25 lat	26-30 lat	31-40 lat	41-50 lat	51 i więcej lat	Ogółem
Zalecić całkowity bojkot	21,7	29,5	26,5	25,0	15,4	24,6
Pozostawić decyzję TKZ "S"	36,9	30,3	31,9	32,0	39,4	33,2
Zalecić włączenie się masowe do wyborów i opanowanie przez rzeczywistych reprezentantów ludzi pracy tej instytucji	28,3	27,1	28,9	26,3	31,7	28,2
Nie wiem jakie stanowisko powinno się zająć w tej sprawie	10,9	10,7	10,3	14,1	11,5	11,7
Inna odpowiedź	-	0,8	1,9	1,3	1,0	1,2
Brak odpowiedzi	2,2	1,6	0,5	1,3	1,0	1,1
	100%	100%	100%	100%	100%	100%



Jak oceniasz pracę samorządu w Twoim zakładzie pracy?

Nic o nim nie wiem	30,5%
Nie istnieje, może na papierze, ale nie ma wpływu	26,9%
Dużo hałasu i dużo szkody, żadnego pożytku	10,5%
Trochę szkody i trochę pożytku	5,8%
Trochę z niego pożytku, jest nadzieja na więcej	10,3%
Sporo z niego pożytku, jest nadzieja na więcej	3,1%
Jest bardzo pożyteczny	3,1%
Inne odpowiedzi	6,4%
Brak odpowiedzi	4,5%

Na temat strajku /nie było pytania o strajk 15-minutowy/:

Metody	Bardzo dobra metoda zaangażując się	Czasem skuteczna metoda chyba się zaangażuję	Raczej nieskuteczna metoda	Zła metoda	Nie wiem i bez odpow.
Strajk powszechny jawny, okupacyjny lub absencyjny	26,1	28,6	18,0	8,9	18,4
Strajk jawny w poszczególnych zakładach, gdy jest ważna przyczyna, ale nie powszechny bo straty są zbyt duże	23,6	30,6	20,4	9,2	16,2
Strajk powszechny włoski opóźnianie roboty, ścisłe przestrzeganie regulaminów i przepisów bhp	35,4	22,5	17,4	9,9	14,8
Strajk włoski w poszczególnych zakładach, gdy jest ważna przyczyna w tym zakładzie	30,7	24,9	20,2	10,2	14,0

## Problem samorządów pracowniczych w 1985 r.

Samorządy pracownicze powstające w 1981 roku były organem ruchu społecznego "Solidarność" /bo NSZZ "S", a w szczególności jego szeregowi członkowie, byli nieufni właściwie do samego końca i nie wiedzieli czy te samorządy trzeba raczej zwalczać, czy raczej popierać/mającym za zadanie:

1. ograniczyć totalną władzę komunistów w dziedzinie gospodarki;

## 2. usprawnić działanie gospodarki.

Uważam pierwsze zadanie za znacznie ważniejsze, bo jest warunkiem końcowym dla realizacji drugiego. Niestety nie jest warunkiem wystarczającym, gdyż wcale nie jestem pewien, czy złożone z ludzi na ogół nieprzygotowanych teoretycznie i intelektualnie dość liczne ciało o niezbyt określonych kompetencjach byłoby w stanie usprawnić naszą gospodarkę. Aktualna niemożność jakiegokolwiek ograniczenia władzy komunistów nie wymaga komentarzy. Potrwa to jeszcze jakiś czas, dopóki obniżający się standard życia społeczeństwa nie skłoni ludzi do wyższego wyrażenia niezadowolenia. Tym samym niemożliwa staje się realizacja drugiego zadania.

Usprawnienie gospodarki jest niemożliwe bez zmiany ustroju. Samorządy pracownicze, jako zastępczy, strasny dla komunistów właściciel-gospodarz nic tu nie pomogą, bo w istniejących realiach gospodarczych plajtują nawet znacznie sprawniejsi w działaniu i wolni od ingerencji organów założycielskich prywatniarze. "Reforma" jest wyłącznie zmianą zasad rozliczeń i nazewnictwa. Władze, deklarując stałe do niej zaufanie, nie podejmują żadnych - poza propagandowymi - działań dla zmiany praktyki gospodarczej. Produkcja w listopadzie i grudniu 1984 r. spadła w stosunku do ubiegłego roku. Perspektywy są mizerne. Prawdopodobnie przewidziane "gospodarcze" plenum KC PZPR będzie znaczącym krokiem w kierunku gospodarki nakazowej.

Założmy skromniejsze cele, w rodzaju kontroli poczynań dyrekcji oraz stworzenia niezależnego związku zawodowego, który mógłby występować w obronie pracowników. Założmy, że TKK zajęła wreszcie prawdziwe stanowisko w sprawie samorządów pracowniczych, w którym określa warunki działania i cele takiego samorządu, zdejmując równocześnie z przyszłych działaczy odium kolaborantów /dotychczasowe stanowisko TKK jest uchylaniem się od zajęcia stanowiska, władza, która tak rządzi nie warta jest podatków/.

Przed nami wybory. Nie wygramy ich. Nie posiadamy odpowiedniej prasy i struktur organizacyjnych, aby zmobilizować załogi i skłonić je do głosowania na naszą listę. Nie będziemy nawet w stanie stworzyć takiej listy. Związek obecnie cierpi na poważny brak kadr, ale nawet w czasie dni chwały nie było kandydatów do samorządów. Zbieramy w hucie składki od około 6.000 osób, czyli dolny poziom aktywności w HiL okazuje około 1/5 pracowników. To nie jest elektorat. Nie zdołamy sprawować kontroli nad komisjami wyborczymi. Przeciwnik jest gotowy i sprawdzony w działaniu. Jego apele wiszą w gablotkach oświetlone i czytelne. Na jego listy głosowało w poprzednich wyborach 60-70% załogi. Od tego czasu zmalała liczba płacących składki "S" a wzrosła liczba nowych związkowców /reżimowych/ i partyjnych.

Założmy jednak i to, że wygraliśmy wybory i posiadamy kontrolę nad radami zakładowymi podstawowych wydziałów i nad radą Kombinatu. Przed nami działanie. Działacze staną przed dylematem czy zachowywać się jak członkowie obecnych rad pracowniczych i co najwyżej delikatnie wpływać na dyrekcję w jednostkowych sprawach, np. personalnych /samorząd dla przyjęcia do pracy wyrzuconych w stanie wojennym/, czy podjąć, wraz z ryzykiem jakie niesie, działalność "kontrewolucyjną", tzn. próbować kontrolować dyrekcję i wpływać w skromnych ustawowych ramach na działalność przedsiębiorstwa. Pierwsza opcja wymaga prasy, w której członkowie rady będą się mogli wytłumaczyć, dlaczego jest nadal tak jak w tej kadencji, tzn. rady nie ma. Wypowiedzi w prasie podziemnej wywołają zainteresowanie SB członkami rady. Druga opcja wywoła takie zainteresowanie bez udziału prasy podziemnej. Może warto tu przypomnieć nagonkę na Wronskiego, który zadbał o praworządność w PRL. Nie uda się działać zgodnie z prawem, można go tylko naruszać lub nie działać w ogóle, tym bardziej, że oprócz prawa istnieje jeszcze świadomość klasowa i praworządność socjalistyczna. Przeciwnikiem będzie znacznie lepiej przygotowana fachowo i moralnie dy-

rekcja, dysponująca lepszą bronią, w tym prawem do zawieszenia samorządu. Pierwszą walkę należałoby stoczyć o kontrolę nad radiowęzłem zakładowym i prasą /w przypadku HiL jest to "Głos Nowej Huty"/. Byłaby to walka przegrana, gdyż "Głos" według nowej ustawy jest w wyłącznej dystrybucji RSW "Prasa", a przy braku kadry i oddelegowanych trudno będzie kontrolować radiowęzeł, nawet gdyby takie prawo udało się uzyskać.

Zażośmy wreszcie, że kadencja upłynęła pomyślnie. Nie siedzimy, nie wyrzucają nas z pracy, koleddy traktują nas pobłażliwie, ale owszem, ręce nam podają. Co dalej? Znajdźmy nowy garnitur działaczy, czy oddajemy samorząd partii? Uświadommy sobie wreszcie, że reżimowe ciała przedstawicielskie mogą mieć dowolny skład, bo nie działają, stąd łatwo wybrać kandydatów. My potrzebujemy bohaterów i męczenników stale co dwa lata na nowo.

Wynik działania samorządu byłby żaden, natomiast ponieśliibyśmy niepowetowane straty propagandowe. Po pierwsze ośmieszylibyśmy hasło "samorząd dla naprawy", utracili argument o konieczności społecznej kontroli gospodarki, skoro są samorządy poparte przez podziemną "S" a gospodarka nie jest lepsza lecz gorsza. Spadek produkcji, być może trwały, potrzebuje winnego. Nawet gdyby produkcja nadal rosła, to na pewno wolniej niż potrzeba. Winny się przyda, a cóż lepszego niż "kontrewolucyjny" samorząd.

Samorząd pracowniczy musi być oparty na silnym związku zawodowym, nie tylko po to, aby mógł rozszerzać posiadane uprawnienia czy forsować korzystne dla siebie interpretacje, ale aby mógł skorzystać z praw już posiadanych, aby mógł istnieć. Bez związku zawodowego, w aktualnym stanie prawnym i co ważniejsze przy aktualnej praktyce gospodarczej samorząd będzie marionetką lub przestanie istnieć.

Przy naszych możliwościach organizacyjnych jedyną do zrealizowania koncepcją jest bojkot. Tego nie trzeba wyjaśniać, tłumaczyć, przekonywać. I z wszelkich działań, apeli, demonstracji itd. bojkot jest najłatwiejszy, niejako naturalny, bo ludzie chcą mieć spokój. Lekceważenie wszystkich fasadowych organizacji jest powszechne, jedy nie strach może przełamać bojkot. Musimy wykorzystać to, czym dysponujemy, a nie jest to pragnienie wolności itd. tylko lenistwo, nie dbałość, nieodpowiedzialność. W niechęci do działania / w tym także do pracy/ łączą się partyjni z bezpartyjnymi, wierzący z niewierzącymi, ekstrema z betonem. Niestety, na takim społeczeństwie, musimy budować, w takim społeczeństwie musimy żyć.

Malkontent z HiL

# PROTEST

Seweryn Blumsztajn postanowił wrócić do kraju. Miał ważny paszport PRL. Na lotnisku nie pozwolono mu na przekroczenie granicy, lecz przemocą wsadzono do samolotu powracającego do Francji, odbierając mu paszport. Po raz pierwszy w historii Polski pozbawiono polskiego obywatela prawa powrotu do Ojczyzny, bez próby nawet oparcia tego o jakikolwiek akt udający prawo.

Protestujemy przeciw temu nowemu aktowi przemocy ze strony władz.

Władysław Bartoszewski  
Jacek Bocheński  
Kazimierz Dziewanowski  
Marek Edelman  
Jerzy Ficowski  
Bronisław Geremek  
Jan Kielanowski  
Anka Kowalska  
Jacek Kuroń  
Jan Józef Lipski  
Tadeusz Mazowiecki  
Adam Michnik  
Andrzej Wajda  
Wiktor Woroszyński

5.02.1985 r.

Tego samego dnia złożyło podpisy jeszcze kilkanaście osób.

Przyłączamy się do protestu

Redakcja

## **Leszek Kołakowski i Lucio Coletti o teologii wyzwolenia**

Dwaj wybitni przedstawiciele współczesnej myśli laickiej, Włoch Lucio Coletti i Polak /od lat już rezydujący w Oxfordzie/ Leszek Kołakowski, wdają się w debatę na temat teologii wyzwolenia. Obydwaj zawdzięczają swą sławę /która, warto to zauważyć, przekroczyła granice ich krajów, poprzez liczne przekłady ich dzieł na obce języki/ głębokiej i dokładnej znajomości marksizmu. Łączy ich przede wszystkim to, że przez długi czas stanowili ważne punkty odniesienia wewnątrz marksistowskiego uniwersum. Kołakowski był w latach 50-tych zahartowanym w walce członkiem polskiej partii komunistycznej oraz jednym z bardziej znaczących jej ideologów. Lucio Coletti był od 1950 do 1964 roku członkiem Komunistycznej Partii Włoch. Jego rozsta-

nie z marksizmem datuje się natomiast na rok 1974. Obydwaj filozofowie, których rozległą twórczość naukową wymienić tu jest rzeczą niemożliwą, przeszli od marksizmu do myśli "laickiej".

- Dlaczego wy, filozofowie "laicy" śledziliście z uwagą debatę na temat teologii wyzwolenia?

Lucio Coletti - Śledziłem dyskusję z uwagą, lecz tylko w oparciu o sprawozdania prasowe. Moje wrażenie jest takie, że na fundamencie licznych tzw. teologii wyzwolenia, następuje zamiana transcendentnej i ponadziemskiej wizji chrześcijaństwa na koncepcję immanentną, a przeto polityczną. Nie przypadkiem mówi się także o teologiach "horyzontalnych", gdzie miejsce absolutu przejmuje przyszłość. "Niebieskie Jeruzalem" przeniesione jest i zmieszane z ziemskim Jeruzalem, to znaczy z określonym, światowym porządkiem politycznym, który po większej części zaprojektowany jest w przyszłość. Ponownie pojawiają się tu elementy "millenaryzmu" które często towarzyszyły historii chrześcijaństwa, od samych jego początków. A ponieważ także marksizm jest na swój sposób formą eschatologizmu historycznego, oto jak dochodzi do spotkania, na pierwszy rzut oka niepojmowalnego, pomiędzy tymi dwiema tendencjami. Faktem jednak pozostaje, że teologia chrześcijańska umocniła się właśnie poprzez walkę i odrzucenie podobnych koncepcji chiliastycznych. I że marksizm, na swój sposób, nie jest już tylko koncepcją świata lub filozofią, lecz jest ideologią reżimów, które zrealizowały najpełniejszą formę nowożytnego totalitaryzmu.

Leszek Kołakowski - Przeczytałem "Instrukcję" kardynała Ratzingera i jestem pewien, że to, o co chodzi w debacie, stanowi ściśle o przyszłości Kościoła Katolickiego w Ameryce Łacińskiej, a w konsekwencji i w świecie.

- Jaka jest wasza opinia na temat "Instrukcji o niektórych aspektach teologii wyzwolenia"?

Leszek Kołakowski - "Instrukcja" kardynała Ratzingera jest jednym z lepszych doktrynalnych dokumentów Kościoła, jakie przeczytałem w ostatnich latach. Jest umiarkowana w tonie, mocna w treści, jasna i celna. Nie chodzi tu oczywiście o to, czy solidarność z ubogimi i prześladowanymi stanowi katolicką zasadę. Zasada ta, aczkolwiek sama w sobie nie wystarczająca do określenia miejsca Kościoła wśród poszczególnych społecznych i politycznych problemów, i aczkolwiek praktykowana w historii Kościoła w sposób daleki od doskonałości, zawsze była proklamowana jako jeden z elementów nauczania Kościoła. Prawdziwy problem znajduje się gdzie indziej i jest bardzo prosty. Jest to centralny i niezbywalny dogmat chrześcijaństwa, mówiący, że wszystkie wartości czasowe, o ile mogą być realne i pożądane, są zawsze drugorzędne i relatywne; nigdy nie mogą być pojęte jako absolutny finis ultimus.

Jeśli ktoś tego nie akceptuje, nie może nazywać siebie chrześcijaninem w powszechnie uznanym sensie. Jeśli Bóg zostaje zredukowany do "prawa historycznego", zbawienie do wywłaszczenia burżuazji, grzech do faktu, że przemysł nie jest upaństwowiony, a Chrystus do bezbarwnej prefiguracji Trockiego, wówczas, całkowicie logicznie, Kościół staje się partią polityczną, a Credo zostaje przemienione w podręcznik dla funkcjonariuszy partyjnych. Ci, którzy dokonują takiego "przekładu" /nie sugeruję oczywiście, że wszyscy używający etykiety "teologia wyzwolenia" są za to odpowiedzialni/, nie mogą być w dobrej wierze; nie trzeba być teologiem, aby jasno dostrzec, że nie jest to kwestia "interpretacji". Ci, którzy mówią: "Naród żyje w nędzy i w głodzie, dlatego zbawienie - w sensie chrześcijańskim - jest bezużyteczne lub stanowi oszustwo", nie interpretują chrześcijaństwa, ale używają niektórych słów chrześcijańskich dla celów antychrześci-

jańskich. Byliby o wiele bardziej logiczni, gdyby się połączyli z partią komunistyczną, jakiegokolwiek rytu - moskiewskiego, trockistowskiego lub maoistycznego - zamiast rościć sobie prawo do nowych odkryć "hermeneutycznych".

Lucio Coletti - Jest taki punkt dokumentu kardynała Ratzingera, z którym laik lub demokrat liberalny nie może nie być zgodnym. Jest to punkt, w którym ukazany jest tragiczny paradoks kogoś, kto dla wyzwolenia ubogich i gniebionych mas, pomaga w nadejściu reżimów totalitarnych na wzór "realnego socjalizmu". Paradoks ten nie byłby chyba możliwym w Ameryce Łacińskiej bez ogromnych błędów i politycznej ślepoty Stanów Zjednoczonych. Nie dającą się pojąć absurdalnością pozostaje fakt poszukiwania dróg wyzwolenia w kierunku sowieckiego totalitaryzmu, tj. reżimu, w którym utrzymuje się nie tylko ucisk ekonomiczny, ale także totalna negacja wszelkiej wolności obywatelskiej i politycznej. Jest to najwyższa sprzeczność komunistów włoskich, którzy znając, przynajmniej w części, autorytatywny i "aliberalny" charakter /już będący eufemizmem/ sowieckich reżimów, nie o mieszkali także tym razem wybiec im z pomocą, opowiadając się przeciwko dokumentowi kardynała Ratzingera.

- Jakie wrażenie wywarł na was sposób w jaki prasa, szczególnie prasa włoska śledziła całe zdarzenie?

Lucio Coletti - Moje wrażenie jest takie, że co najmniej część prasy włoskiej nieumyślnie zaciemniła to, co stanowi centralny punkt sporu. Rozumiem tu nie tylko sąd na temat Związku Radzieckiego, lecz bardziej szczególnie ukazanie absurdalności prowadzenia walk o "wyzwolenie", które miałyby jako ujęcie totalitarne reżimy polityczne, całkowicie podporządkowane Związkowi Radzieckiemu. Byłoby dobrze, aby katolicy zwolennicy teologii wyzwolenia uświadomili sobie nie tylko te sytuacje, które istnieją w krajach Europy Wschodniej, lecz także tę, która istnieje na Kubie, gdzie liczba więźniów politycznych i uchodźców przekroczyła dalece ich liczbę w czasach dyktatury Batisty.

Leszek Kołakowski - Nie znam reakcji prasy włoskiej.

Jak wyjaśnicie, że pomimo, iż kultura europejska już od wielu lat patrzy ze sceptycyzmem na ideologię marksistowską, prawie większość opinii wyrażonych przez prasę była bezkrytycznie życzliwa dla tej teologii wyzwolenia?

Leszek Kołakowski - Na ogół dziennikarskie reakcje w takich sprawach są zdominowane, przynajmniej w większej części, przez modę. Marksizm nie jest już modą w Europie Zachodniej, lecz oskarżanie Kościoła o "reakcjonizm" jest sprawą mody. Aż do chwili, w której Kościół nie ulegnie kryteriom ustalonym przez tych, którzy siebie samych mianują nosicielami postępu, będzie zmuszony znosić te oskarżenia.

Lucio Coletti - Sytuacja Italii jest całkowicie różna od sytuacji innych krajów Europy Zachodniej. W kulturze francuskiej, także lewicowej, sowiecki dysonans wycisnął głęboki ślad. Wystarczy pomyśleć o Ódgosie, z jakim spotkało się dzieło Solżenicyna. U nas jest inaczej. Stanowisko naszej prasy można wyjaśniać na różne sposoby. Przede wszystkim w zespołach redakcyjnych wielkich i małych dzienników, odsetek komunistów jest większy od średniej krajowej. Należy dalek dodać katolików przychylnych "kompromisowi historycznemu". Wystarczą dane tego rodzaju, aby wyjaśnić wiele rzeczy. Zamierzenie jest nieco podobne do przewracania kart na stole: autorytatywne zagrożenie nie pochodzi z sowieckiej i kubańskiej penetracji w Ameryce Centralnej; pochodzi raczej z ostrzeżenia kierowanego przez Kościół ku tym księżom, którzy, bez względu na to jaki jest ich idealizm religijny, przystępują do gry.

Niektórzy teologowie wyzwolenia replikują mówiąc, że "Marks nie

jest ani ojcem, ani patronem teologii wyzwolenia"; teologia wyzwolenia miałyby się posługiwać jedynie metodologią marksistowską, abstrahując od jej filozoficznych założeń materialistycznych. Jak ocenianie tego rodzaju zbliżenie do marksizmu? Czy można oddzielić metodologię od reszty? I czy w każdym przypadku chodzi o metodologię naukową?

Lucio Coletti - Niektóre argumenty teologów wyzwolenia są patetyczne. Nie istnieje marksistowska metodologia, którą dałoby się oddzielić od filozoficznych założeń doktryny. Dla utrzymania tego rozdziału potrzebny byłby, żeby marksizm był tą nędzą "narodnictwa", do której sprowadzają go wymienieni księża. Marksizm w rzeczywistości ma całkowicie inną zawartość. I sądzę, że mogę to powiedzieć z pewną znajomością przyczyny. W ciągu długich lat, w których byłem marksistą, zawsze utrzymywałem, że usiłowanie rozłączenia "metody" od "systemu" jest bezpodstawne. Dlatego postawa księży, którzy dziś na powrót żądają "naukowości" w marksizmie, w chwili, w której sami marksiści w nią wątpią, pobudza do śmiechu. Dziś marksizm nie jest już tylko teorią; jest ideologią państw totalitarnych, które rządzą miliardami ludzi. Pragnienie przejścia doktryny w jej "czystość" i abstrahowanie od jej realizacji nie jest poważne.

Leszek Kołakowski - Nie wiem, czym jest "metodologia" marksistowska. Niektórzy wielcy marksiści ukazali w sposób przekonujący, że nie istnieje "metodologia" lub "metoda" marksistowska poza obecną aktywnością polityczną marksistowskiego ruchu. Oczywiście, fakt, że marksizm, jako system wszechobejmujący, pretendujący do wyjaśnienia całości historii i przepowiadania promiennej przyszłości nie jest niczym innym jak snem o otwartych oczach, nie oznacza, że każdy określony sąd sformułowany przez Marksa jest fałszywy. Z pewnością tak nie jest. Lecz chciałbym właśnie wiedzieć, jaka jest ta "metodologia"; można dyskutować tylko na temat określonych kwestii, a nie w sposób ogólny.

Jeśli obrońcy teologii wyzwolenia chcą na przykład powiedzieć, że w społeczeństwie istnieją grupy lub klasy o przeciwstawnych interesach, to w tym nie ma nic marksistowskiego; wszyscy starożytni historycy wiedzieli o tym bardzo dobrze. To, co jest specyficznym marksistowskiego, to sen o totalnej rewolucji proletariackiej, która za jednym zamachem rozwiąże wszelkie problemy i niedole ludzkie; że ta rewolucja jest historycznie nieunikniona i że polega ona głównie na posiadaniu wszystkiego przez państwo. Do tej chwili, 136 lat po opublikowaniu Manifestu Komunistycznego, jedynym wydarzeniem, które zasługuje na imię rewolucji robotniczej, był ruch "Solidarności" w Polsce. I ta pierwsza rewolucja robotnicza była zwrócona przeciwko państwu socjalistycznemu, zrealizowana pod znakiem krzyża i z błogosławieństwem Papieża. To, co dotyczy przewidywań Marksa.

Dalej, względem "naukowych" pretensji marksizmu mogę powiedzieć tylko tyle: nigdy nie widziałem matematyków, archeologów, lub fizjologów, którzy powtarzaliby z taką natarczywością: "oh, jacy jesteście naukowci; oh, nasza praca jest naukowa, naukowa, naukowa". Ci, którzy powtarzają w nieskończoność te zdania, jak czyni to większa część marksistów, ukazują jedynie swój kompleks niższości. Sam Marks działał wewnątrz pojęciowej struktury "nauk społecznych" swego czasu /także jeśli jego prorockie i mesjańskie aspiracje wykraczają daleko poza nią/, jednak pobił w większej części przypadków. Powtarzanie, że marksizm jest "teorią naukową" nie jest niczym innym, jak ideologicznym wymysłem, groteskowym roszczeniem, jakoby marksizm miał posiadać monopol na prawdę.

- Innym zastrzeżeniem wysuniętym z wielu stron wobec dokumentu watykańskiego jest to, że stanowi on odbicie mentalności "eurocentrycznej" zamożnego intelektualisty, nieświadomego dramatyzmu społecznych sprzeczności latyno-amerykańskich. Czy uważacie, że taka argumenta-

cja jest uprawniona?

Lucio Coletti - Eurocentryzm niczego tu nie wnosi. Wydawałoby się, że zamierza się przywrócić Ameryce Łacińskiej jej specyfikę. Jeśliby tak było, nie ma podstaw do jakichkolwiek zarzutów. Jest jednak faktem, że sytuacja istniejąca obecnie na Kubie, jest bardzo podobna do sytuacji w Bułgarii i innych krajach Wschodu, na przekór wszystkim historycznym i geograficznym różnicom. Jaki rodzaj reżimu utrwała się w Nikaragui sandinistowskiej? Nie ma osoby, która nie byłaby w stanie go przewidzieć. Bez względu na historyczne i kulturowe różnice poszczególnych krajów, gdziekolwiek, reżimy komunistyczne wytworzyły te same porządki i z tymi samymi rezultatami: od Korei po Czechosłowację, od ZSRR po Chiny.

Leszek Kołakowski - Twierdzenie, że dokument kardynała Ratzingera odzwierciedla stanowisko eurocentryczne, a przez to jest nie do zastosowania w Ameryce Łacińskiej, oznacza domyślne twierdzenie, że Bóg w Europie jest "transcendentny", podczas gdy w Meksyku jest "immanentny"; że zabójstwo kogokolwiek w Anglii jest grzechem, a nie jest nim w sposób konieczny w Brazylii itp. To jest równoznaczne z twierdzeniem, że nie istnieje chrześcijaństwo z powszechnym dogmatem. Oczywiście, dokument, w przepowiadaniu niektórych uniwersalnych doktryn Kościoła, nie dostarcza specyficznych rozwiązań dla ogromnych problemów Ameryki Południowej; nie było to jego celem. A jeśli Kościół katolicki nie posiadałby powszechnego orędzia, nie byłby po prostu Kościołem "katolickim" w znaczeniu historycznym, doktrynalnym, a nawet etymologicznym.

- Znaczący przedstawiciel włoskiej kultury laickiej Vittorio Strada pisał w "Corriere della Sera", że mówiąc o kwestii stosunku chrześcijaństwo-marksizm "Kościół katolicki, jak i reszta wszelkiej myśli autentycznie laickiej, nie może abstrahować od rzeczywistości socjalizmu realnego". Czy zgadzacie się z takim sądem?

Lucio Coletti - Podzielał sąd Strady. Potwierdza on to, co już powiedziałem.

Leszek Kołakowski - Dyskusja nad społecznymi koncepcjami marksistowskimi zezwalającymi jedynie na obietnice chwalebnej przyszłości zbudowanej na tych koncepcjach, i stawanie po stronie ponurej rzeczywistości Socjalizmu "realnego", jest objawem najwyższej hipokryzji. Nie mówię, że doktryna marksistowska stała się wystarczającą przyczyną sowiezizmu, jednak doktryna ta, nie ulegając substancjalnemu skrzywieniu czy falsyfikacji, okazała się być wystarczającą zdatna w służbie, jako ideologia państwa totalitarnego i imperialistycznego, zbudowanego na przemocy, kłamstwie, wyzysku i nierówności. Ciągłość pomiędzy socjalistyczną ideą Marksa i sowiezizmem jest rzeczą niezaprzeczalną, bez względu na to, jakie byłyby humanistyczne intencje samego Marksa. Nie można także zaprzeczyć, że marksizm jest antychrześcijański, nie w sposób przypadkowy, ale jako rezultat swoich fundamentalnych antropocentrycznych założeń filozoficznych. Czy ci, którzy pośród teologów wyzwolenia są entuzjastami Kuby nigdy nie czytali konkretnych sprawozdań z kubańskich więzień, lub myśleli, że są pozbawione wartości, wymyślone przez CIA? Czy mówili lub myśleli kiedykolwiek o losie chrześcijan w "wyzwolonym" Wietnamie?

- Czy podzielaacie opinię, według której bardzo ostry sąd na temat reżimów Wschodu, do których pośrednio dokument czyni odniesienie, może być obrazem znaczącego przełomu w tradycyjnej wschodniej polityce Watykanu?

Lucio Coletti - Nie potrafię powiedzieć czy dokument, o którym rozprawiamy, a w szczególności sąd jaki daje on na temat Związku Radzieckiego i jego państw satelitarnych stanowi lub nie stanowi zwrotu Koś-



ciola i jego polityki wschodniej. Przypuszczam jednak, że koniecznie tak być nie musi. Nie wierzę natomiast, aby aktualny Papież mógł ulegać iluzjom.

Leszek Kołakowski - Nie jestem pewien określając, czym jest wschodnia polityka Watykanu. Faktem jest, że od Soboru Watykańskiego II dokumenty Kościoła rzeczywiście nie wymieniały komunizmu po imieniu. Dlaczego? Lepiej zapytać o to osoby z Kurii.

- Jeśli więc marksizm nie jest drogą do prawdziwego wyzwolenia, jaka jest, według was, alternatywa dla sytuacji ubóstwa i wyzysku charakteryzującej Amerykę Łacińską?

Leszek Kołakowski - Gdybym posiadał cudowny środek na przerażającą nędzę społeczności Ameryki Łacińskiej, nie ukrywałbym z pewnością mojego odkrycia przed rodzajem ludzkim. Gdybym na nieszczęście powiedział, że znam ten środek, byłbym czelnym idiotą.

Problem stanowi to, że ci, którzy używają magicznego słowa "rewolucja" jako uniwersalnego klucza przepowiedania w tych krajach, nie mają nic do ofiarowania poza samym tym słowem. Są tysiące kapłanów i świeckich chrześcijan, którzy pracują z największym poświęceniem i miłością, usiłując wspomóc ludzi w ich nędzy. Matka Teresa jest pośród nich najbardziej znana, lecz jest ich wielu, o wiele więcej w krajach ubogich. Nie potrzebują dla swej pracy szczególnej teologii wyzwolenia. Ewangelia jest dla nich wystarczająca. Wojskowe reżimy będące źródłem ucisku mogą zostać obalone, jak stało się w Argentynie /a więcej nadziei jest w takim typie rozwoju niż w komunistycznych reżimach totalitarnych/. Nędza, miejmy nadzieję, może być zniesiona krok po kroku za pośrednictwem zorganizowanego nacisku społecznego, który domaga się reform; za pośrednictwem zewnętrznej pomocy, czy też technologicznego postępu. Jeśli ktokolwiek mówi: "nie możemy czekać, musimy jeszcze tej nocy wywołać rewolucję, która rozdzieli ubogim bogactwo bogatych", oszukuje nie tylko siebie samego; jego oszustwo jest nieusprawiedliwione, ponieważ zbyt dobrze wiemy, że rewolucja marksistowska jest drogą do niewoli i cierpienia /post factum/, że "rewolucja została zdradzona"; dziś nie jest to już wystarczające usprawiedliwienie.

Lucio Coletti - Nie znam Ameryki Łacińskiej na tyle dobrze, aby móc przepisywać recepty. Jestem jednak przekonany, że nie tylko sprawiedliwość społeczna jest zgodna z politycznym porządkiem demokratycznym, ale wręcz, że tylko ten porządek może ją gwarantować.

Ze dla sprawiedliwości trzeba poświęcić wolność, to stary sofizmat. Zaslugą krajów "socjalizmu realnego" jest to, że mu zaprzeczyły. W tych krajach nie ma wolności. Jest to poza dyskusją. Tak samo jest pewne, że nie ma tam nawet sprawiedliwości. Wystarczy tam być i zobaczyć warunki życia ludzi.

- Ostatnie pytanie do profesora Kołakowskiego. Powiedział pan kiedyś: "Jeśli Bóg jest po prostu elementem dekoracyjnym własnych przekonań politycznych, wówczas naprawdę nie potrzeba chrześcijaństwa". Czy zechce pan wyjaśnić to swoje stanowisko?

Leszek Kołakowski - Jeśli teologowie usiłują współzawodniczyć z komunistami w obietnicach natychmiastowego zniesienia nędzy ludzkiej, zawsze przegrywają, i w takim współzawodnictwie pozbawiają chrześcijaństwo jakiegokolwiek osobliwego znaczenia. Jeśli chrześcijaństwo faktycznie jest ideologią polityczną, nie widzę właściwie co tracimy - oprócz propagandowych terminów - odrzuciwszy cały chrześcijański dialekt. Po co miałyby istnieć ten dialekt po usunięciu różnicy między Królestwem Bożym i niewolą komunistyczną. A jeśli ktoś odpowie /co jest najczęstszą odpowiedzią/, że "Królestwo Boże jest słowem bez sensu dla tych, którzy cierpią głód i wszelkiego rodzaju niedostatek", to znaczy po prostu, że Królestwo Boże jest bez sensu tout court. A

jednak realne doświadczenie chrześcijaństwa przeciwstawia się jasno temu zdaniu. Dla chrześcijan, którzy cierpieli w obozach koncentracyjnych - narodowosocjalistycznych lub socjalizmu międzynarodowego - którzy nie wycierpieli mniej od mieszkańców slumsów miasta Meksyku i San Paolo, zawierzenie Bogu i pokładanie ufności w Jego Królestwie stanowiło realne doświadczenie. Jest sprawą naturalną i uprawnioną, że ludzie angażują się w walkę przeciw nieludzkim warunkom, lecz główną jest twierdzenie, że "ponieważ lud cierpi, prawdziwe chrześcijaństwo polega na zapomnieniu tradycyjnego chrześcijańskiego rozróżnienia pomiędzy niebem i ziemią, grzechem i cnotą, dobrem i złem". Jeśli tak się myśli, wówczas o wiele lepiej jest powiedzieć z komunistami: "Chrześcijaństwo jest starym przesądem wymyślonym przez bogatych dla wykorzystywania biednych". To, że Kościół nie może uciec od społecznej odpowiedzialności nie oznacza, że musi stać się partią lub dodatkiem do niej. Może on przyjąć swą niezależną i niezbywalną pozycję, nawet w najgorszym położeniu.

Przekład z języka włoskiego: T.G.-S.P.

## STREFY WPŁYWÓW

Kiedy mówię Brytyjczykom o "Solidarności", mogą być pewni, że ktoś zapyta: "A co z Salwadorem?". Być może Związek Sowiecki postępuje niewłaściwie na swoim środkowo europejskim "podwórku", czyż jednak Stany Zjednoczone w Ameryce Środkowej zachowują się dużo lepiej? W Zachodniej Europie ten rodzaj pytania jest dziś banałem. W czasie debat dostojnego konserwatywnego Związku Oxfordzkiego Kasper Weinberger tylko w niewielkim stopniu podważył opinię, że "nie ma moralnej różnicy pomiędzy polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych a Związku Sowieckiego. Opinia ta najbardziej popularna i rozpowszechniona jest wśród młodych. Często opiera się na uprzedzeniu, spontanicznych, kulturowych i historycznych reakcjach /szczególnie w Niemczech Zachodnich/ i ponad wszystko na ignorancji. Lecz czy ma jakieś racjonalne podstawy? Po pięciu latach gwałtownego i gorzkiego doświadczenia sowieckiego imperializmu w Środkowej i Wschodniej Europie zdecydowałem, że w tym roku sprawdzę "co z Ameryką Środkową".

Tak jak się spodziewałem, na pierwszy rzut oka różnice były dużo większe niż podobieństwa. W Europie Środkowej symbole sowieckiej dominacji są oczywiste i wyraźnie polityczne: plakaty propagandowe głoszące "Odwieczną Przyjaźń z Związkiem Sowieckim", czerwone flagi, posępne fasady, gazety na miarę "Prawdy" - cała ponura, identyczna zawartość niezliczonych Placów Zwycięstw wzdłuż całego sowieckiego bloku, od Magdeburga do Lublina, od Gdańska do Płowdii. W Salwadorze nie ma takich symboli. Tam są tylko stacje benzynowe Shella i Esso, reklamówki Coca-coli, komercyjna telewizja, krążownicy szos, "Newsweeki" w kioskach. Jeśli będziesz rozmawiać z Jezuitami w Krakowie, to powiedzą ci, że źródłem środkowoeuropejskiego problemu jest bezlistosne narzucanie sowieckiego systemu i jego wartości. Polska potrzebuje więc większej ingerencji ZSSR. Porozmawiaj z Jezuitami w San Salwador a powiedzą ci, że Stany Zjednoczone muszą narzucić humanitarne rozwiązania temu krajowi. Salwador potrzebuje więc większej amerykańskiej ingerencji, ale innego rodzaju.

Podczas miesięcznego pobytu w Salwadorze i Nikaragui dla zachodnio-europejskich wątpliwości moralnych znalazłem - ku memu zdziwieniu - jedno czy dwa dobre uzasadnienia. W Salwadorze ukazała mi się

przepaść pomiędzy amerykańską retoryką a rzeczywistością, podczas gdy stosowana ostatnio polityka amerykańska w stosunku do Nikaragui wywołuje pytania dotyczące sedna amerykańsko-sowieckiego porównania: co usprawiedliwia narzucanie przez supermocarstwa siłą suwerenności i samostanowienia słabszym narodów? Moralne sedno naszego sprzeciwu wobec sowieckiej dominacji w Europie Środkowej polega przecież na pogwałceniu siłą właśnie ich suwerenności i samostanowienia.

Byłem w Salwadorze w czasie pierwszej tury wyborów prezydenckich. Wybory te, co do których spodziewałem się, że będą przykładem spełnienia obietnic amerykańskiej polityki wobec Ameryki Środkowej, zasadniczo zbijającym twierdzenie o jakiejś równoważnej moralnie polityce sowieckiej wobec Europy Środkowej, były w rzeczywistości, dla mnie jak i dla wielu moich kolegów, sprawą smutną i przygnębiającą. Było to przygnębiające, ponieważ kampania wyborcza dała swobodę ruchowi ARENA, który bez wahania określić jako faszystowski; a także dlatego, że ten faszystowski ruch był wspierany /i w znacznej mierze prowadzony/ przez bardzo zamerykanizowaną klasę ludzi interesu, stworzoną przez amerykańską politykę. Smutnym było obserwowanie administracyjnego chaosu spowodowanego przez zbyt skomplikowany system komputerowy, finansowany przez USA, a także oglądanie tych niepiśmiennych ludzi przechodzących całkowicie bez zrozumienia przez tajemniczy obrzęd głosowania - gdyż byli do tego zmuszeni. Ponad wszystko było to wreszcie przygnębiające z powodu fantastycznego przedstawienia całego wydarzenia przez reprezentantów USA.

Nie wiem, czy powinienem włączyć do tej kategorii amerykańską damę, która powitała mnie w Wyborczym Ośrodku Prasowym małą elegancką wystawą próbných druków komputerowych, kartek do głosowania i pustą plastikową urną. Czy urna zrobiona była w USA? - zapytałem. Nie, odparła żywo, plastik był importowany ze Stanów, "ale urna zrobiona jest tutaj, MADE IN SALWADOR - tak jak wybory". Czy pani specjalizuje się w branży wyborczej? Nie, jej poprzednią pracą była reklama handlowa, ale po prostu otrzymała ofertę od Republiki Dominikańskiej, by "sprzedać" ich wyroby.

Myślę szczególnie o zespole amerykańskich oficjalnych obserwatorów, którzy przylecieli w sobotnie popołudnie przed wyborami i wrócili do Waszyngtonu w poniedziałek rano, odbywając tylko krótką pożegnálną konferencję prasową. Byłem całkowicie gotowy zgodzić się z ich pozytywną oceną wyborów: powiedzmy, gdyby powiedzieli, że chociaż wybory w kraju będącym w stanie wojny muszą być bardzo niedoskonałe, ale pomimo administracyjnego nieładu głosowanie było tak swobodne i uczciwe jak tylko można było oczekiwać w tych okolicznościach; jeśli wybory mogły przybliżyć Salwador choćby o mały krok do pokojowego rozwiązania, to należy im przyklasnąć. Zgodziłbym się z tym. /I po 6 miesiącach od wyboru rządu Duarte'go, można by wskazać pozytywne rezultaty. Czy rząd Duarte'go mógłby chociaż zacząć pokojowe negocjacje bez tej demokratycznej legislacji?/.

A przecież nie to powiedzieli. Zamiast tego, powiedzieli nam, że to były prawdziwie wspaniałe wybory: "Radosny objaw uczuć bez niechęci, bez skarg" - powiedział przywódca większości parlamentarnej Jim Wright. Frekwencja była "dużo większa niż to bywa w Stanach Zjednoczonych" - i udowodniła, jak bardzo Salwadorczycy chcą demokracji. I /zauważa Wright/ Salwadorczycy szli do urn "wystrojeni jak na niedzielę". Oczywiście, kontynuował senator William Roth, była to "wielka lekcja postawy obywatelskiej" dla Amerykanów z północy.

Powiedziałem sobie: jak można przytaczać ogromną frekwencję jako dowód dążności do demokracji, kiedy głosowanie jest obowiązkowe, a przymus obwarowany karami pieniężnymi lub represjami aż nadto znanych sił bezpieczeństwa? Jak można uważać, że te wybory były "wielką lekcją postawy obywatelskiej" dla Stanów Zjednoczonych, kiedy w przybliżeniu 40% Salwadorczyków nie umie czytać i pisać? Co za bzdura.

Gdy to piszę, mam przed sobą jednocentowy znaczek Stanów Zjednoczonych z napisem: "Umiejętność pisenia. Źródło demokracji". No, właśnie. Fakt, że tak wielu Salwadorczyków nie potrafi czytać lub pisać - i co za tym idzie, nie może w pełni uczestniczyć w procesie demokratyzacji - jest przynajmniej częściowo rezultatem nierównego i niesprawiedliwego rozwoju, popieranego przez Alliance for Progress. W tej obrzydliwej łaskawości amerykańskich oficjalnych obserwatorów /"ci odważni ludzie w swoich niedzielnych ubraniach"/ i ich kłiwym moralizmie dotknęliśmy newralgicznego punktu europejskiej zmiany kursu. W toczących się w Waszyngtonie dyskusjach na temat Ameryki Środkowej w raporcie misji Kissingera, w każdej mowie Reagana znajdujemy zawsze parę podstawowych równań: /1/ to, czego chcą Stany Zjednoczone równa się temu, czego chcą "ludy" Salwadoru, Nikaragui, Hondurasu lub gdzie indziej; /2/ amerykańskie polityczno-strategiczne interesy w Ameryce Środkowej są równoznaczne z jej "moralnymi interesami".

Oba równania są wysoce wątpliwe. Zdrowa zasada każe nie ufać każdemu, kto twierdzi, że mówi w imieniu "ludu". Komuniści w Europie Środkowej robią to stale. Nie mam pojęcia, czego chce "lud" Salwadoru. Wiem tylko, czego chcą pewni ludzie, z którymi rozmawiałem. Na przykład zamerykanizowany businessman, który popiera ruch ARENA chce wolności w interesach a nie politycznej demokracji. Bardzo trudno powiedzieć, czego chcą chłopi stanowiący większość ludności, gdyż "campesinos" przeważnie mówią to, co, jak myślą, chce usłyszeć aktualnie panująca władza /armia lub partyzanci/. Oni wszyscy jednak przysięgają, że podstawową rzeczą, której chcą, to zakończenie masakry tak szybko, jak to możliwe. Czy takie są zasadnicze interesy Stanów Zjednoczonych w Salwadorze?

Co do drugiego równania, sama myśl, że narody posiadają "moralne interesy" jest dziwna i podejrzana dla europejskiego ucha. Polityczne, strategiczne, ekonomiczne, kulturalne interesy - tak, ale moralne interesy! Jak pisze profesor historii współczesnej w Oxfordzie Michael Howard /w książce "Wojna a liberalna świadomość"/: "Stany Zjednoczone... faktycznie jedynie wśród narodów znalazły i do pewnego stopnia ciągle znajdują swoją tożsamość nie tyle w społeczności etnicznej lub wspólnocie historycznego doświadczenia, lecz w systemie wartości i odwoływaniu się do tych wartości. Stałe głoszenie i wierność liberalnemu credo zawsze były podstawowym czynnikiem spójności amerykańskiego społeczeństwa".

Jest to normalne w amerykańskiej polityce, że w raporcie Kissingera ten właśnie paragraf przeszedł niezauważony. Pisząc o przyczynach amerykańskiego zainteresowania w kryzysie Ameryki Środkowej, jeden cel uważa się tam za podstawowy: "Zachować moralny autorytet Stanów Zjednoczonych. Być postrzeganym przez innych jako naród, który robi to, co słuszne dlatego, iż jest to słuszne, jest jedną z podstawowych wartości tego kraju". Ilustruje to wątpliwą mieszankę pojęć o moralnym obowiązku i narodowym interesie. Kissinger i jemu podobni nie mówią "musimy robić to, co jest słuszne, ponieważ jest słuszne". Oni mówią "musimy być postrzegani jako ci, co robią to co słuszne, ponieważ jest słuszne, dlatego, że jest w naszym narodowym interesie być tak postrzeganym". Ale jeśli robisz /lub twierdzisz, że robisz/ to, co jest słuszne, ponieważ myślisz, że jest w twoim interesie by za takiego uchodzić, wówczas nie robisz tego, co jest słuszne. Jesteś interesowny, a nie bezinteresowny; samolubny, nie altruistyczny; polityczny, ale nie moralny. Jeśli udajesz, że jest inaczej, stajesz się hipokrytą.

Według mnie, wielu ludzi w Zachodniej Europie mniej sprzeciwia się rzeczowistej amerykańskiej polityce w Ameryce Środkowej niż moralistycznej retoryce, w której jest ona prezentowana. Gdybym wobec jakiegoś audytorium w Europie musiał bronić polityki administracji Reagana w czasie minionego roku wobec Salwadoru, powiedziałbym mniej więcej tak: "Staramy się popierać demokratyczne wybory i cywilny

chrześcijańsko-demokratyczny rząd. Przyznajemy, że potężne czynniki wojskowe i siły bezpieczeństwa Salwadoru winne są wielu potwornych okrucieństw. Robimy wszystko co w naszej mocy, by je pohamować. Ale musicie zdawać sobie sprawę, że nasza władza nad nimi nie jest absolutna. Taką polityką nie jest zadawająca. Czy macie jednak lepszy pomysł? Rządy koalicyjne nie są dziś realistyczną możliwością w Salwadorze, tak jak nie są w Irlandii Północnej. Przypuszczalnie nie chcecie, byśmy dokonali inwazji? Nie, wy chcecie byśmy się wycofali. Weźcie jednak pod uwagę, co się wtedy wydarzy. Najbardziej prawdopodobny rezultat nagłego wycofania się z Salwadoru /tak jak brytyjskiego wycofania się z Północnej Irlandii/ to krwawa łaźnia; albo antykomunistyczna "matanza" armii w stylu roku 1932, albo terror partyzantów, albo /prawdopodobnie/ oba!.

Nie mogę udawać, że byłbym zadowolony z takiej obrony. Dlaczego administracja Reagana zrobiła tak mało, by powstrzymać w ciągu pierwszych dwóch lat prezydentury morderców z salwadorskiej służby bezpieczeństwa? Dlaczego w tym samym czasie zaopatrywała ich w broń? Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, że militaryzacja jest chorobą Salwadoru a nie lekarstwem? Na te pytania nie mógłbym odpowiedzieć, ale moja obrona będzie przynajmniej rozumiała w języku polityki europejskiej. "Tak - zakończyłbym - nie cała nasza polityka jest dobra, pewni ludzie, których finansowaliśmy i zbroiliśmy są źli. Twierdzimy tylko, że jest to mniejsze zło".

Po ostatnim londyńskim wystąpieniu pani Jeane Kirkpatrick David Watt, wybitny brytyjski komentator polityczny, ostro wyraził innego rodzaju europejską reakcję: "Kiedy pani Kirkpatrick twierdzi, że istnieje dostateczna moralna baza wszystkich amerykańskich poczynań, przegrywa beznadziejnie. Jedyna możliwa obrona niektórych z tych poczynań powinna wyglądać całkiem inaczej: Tak, to jest złe, ale konieczne. Po prostu cel uświęca środki".

"Cel uświęca środki". Czyż nie jest to jednak etykieta, którą przyklejamy międzynarodowej polityce sowieckiej? Jest dużo więcej zamętu wokół tego twierdzenia, niż wokół jakiegokolwiek innego. Powinno być oczywiste, że pewne cele usprawiedliwiają pewne środki. Kula wystrzelona w kierunku mordercy nie jest moralnie równoważna z kulą wystrzeloną przez mordercę. Okropne środki współczesnej wojny były usprawiedliwione, gdy celem było pokonanie Hitlera. Jednakże, kiedy stosujemy tę etykietę do sowieckiej polityki, mamy na myśli coś, co może być nazwane "doktryną przeistoczenia środków". Doktryna mówi: "Nasz cel - komunizm - jest tak wielki, tak wzniosły i szlachetny, że każde środki, choć pozornie podłe i nędzne, nie tylko są przezeń usprawiedliwione; są przezeń usankcjonowane i przeistaczone. Zatem, środki stają się dobre". Stąd, groteskowa Orwellowska inwersja, według której: wojna nazywana jest pokojem, wyzysk - "emancypacją", podobń - "wyzwoleniem". Imperium sowieckie może być ostatnim imperium europejskim, ale jest na pewno pierwszym, które usprawiedliwia się retoryką radykalnego imperializmu.

Ale także Stany Zjednoczone historycznie odróżniają się od skorumpowanej starej Europy poprzez twierdzenie, że z zasady są w opozycji do idei imperializmu. Pozornie antykolonializm był bazą doktryny Monroe'a i późniejszych amerykańskich interwencji w Ameryce Łacińskiej. Od tamtej pory twórcy amerykańskiej polityki na każdym kroku stawali się udowodnić, że ich cele nie są celami innych sił imperialistycznych i jeśli czasem środki wyglądają podobnie /kule, bomby, napalm/, to już trudno, cele je jednak usprawiedliwiają. A może je uświęcają? Kongresmen Jim Wright powiedział nam, że po tych wspaniałych wyborach Salwadorczykom nie może być odmówiona "odpowiednia broń dla ochrony świętości procesu". W postawie tej jest niebezpieczna dwuznaczność: "To, co robią Stany Zjednoczone musi być zawsze dobre".

Oczywiście, ta moralistyczna deformacja nie jest ani tak skrajna, ani tak konsekwentna, ani /zazwyczaj/ tak cyniczna, jak inwersja komunistyczna. Czarni nie staną się biali, nawet w ustach Jeane Kirkpatrick. Ale brązowi stają się szarawobiali. Twierdzenie, że coś, co jest złe, ale politycznie konieczne jest dobre /jak na narazie u Kissingera/ stanowi skrzywienie moralne i jest przygnębiające dla postępowo myślących ludzi w Zachodniej Europie. Fakt, że amerykańscy mężowie stanu używają potocznej retoryki zamiast uduchowionej, nie czyni tego mniej przygnębiającym, nawet to wrażenie pogarsza. Europejczycy czują, że nadużywane są ich własne wartości, pachną oszustwem. Jeżeli ta moralna deformacja polega na faktycznej wierze, że to co złe ale politycznie jest dobre /tak jak to czyni widocznie Jim Wright/ i jeżeli jest to bardziej samooszukiwanie się niż oszustwo, to staje się to niebezpieczne dla twórców amerykańskiej polityki, ponieważ prowadzi do pomieszania celów i środków. Nigdzie nie jest to zaś tak bardzo pomieszane, jak ostatnio w polityce USA wobec Nikaragui.

Może byłoby dobrze pospekulować, co Związek Sowiecki zrobiłby, gdyby spotkał się z wyzwaniem porównywalnym do Nikaragui na swoim własnym podwórku: naród przyjmujący wrogi system, a w najlepszym przypadku międzynarodową neutralność. Na Węgrzech w 1956 roku, w Czechosłowacji w 1968, w Polsce w 1981 Związek Sowiecki dał na to odpowiedź: przede wszystkim nigdy nie pozwoliłby Nikaragui na uwolnienie się. Związek Sowiecki usprawiedliwia swoje zbrojne interwencje w Europie Środkowej przez odniesienie się do dwóch zasad: ideologicznego legitymizmu i bezpieczeństwa. Ta pierwsza /historycznie nowa/ zasada utrzymuje, że wymogi międzynarodowego socjalizmu mają pierwszeństwo nad tym, co "Prawda" w 1968 roku nazwała "abstrakcyjnym, nieklasowym podejściem do problemu suwerenności i prawa narodów do samostanowienia". Koła historii nie można cofnąć. Raz socjalistyczny, zawsze socjalistyczny. Ta zasada ma swoje źródło zarówno w teorii marksistowsko-leninowskiej, jak w praktycznym /i całkowicie usprawiedliwionym/ strachu przed przykładem, który mogłoby dać jakieś socjalistyczne państwo przyjmujące inny system. Druga zasada jest bardziej tradycyjna: przesadne pojęcie tego, co jest konieczne dla "bezpieczeństwa" Mateczki Rosji, ofiary tak licznych najazdów w historii Europy. Sowiecka polityka zagraniczna oparta na zastosowaniu tych dwóch zasad wyróżnia się w Europie Środkowej dużą konsekwencją. Etykieta "doktryny Breżniewa" jest terminologicznym błędem, jako że była też doktryną Stalina, Chruszczowa, Andropowa i jest również bez wątplenia doktryną Czernienki.

To, co przez kontrast odróżnia od polityki ZSSR amerykańską politykę zagraniczną, to uderzający brak konsekwencji z jakim stosuje swoje zasady w Ameryce Środkowej. Radzieckim, wyraźnie przesadnym potrzebom bezpieczeństwa odpowiadają różnorodne, kolejne lub równoczesne, niedocenianie lub przecenianie potrzeby bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Zamiast żelaznego koła historii stosuje się wymijające i elastyczne pojęcie "wiarygodności" - ten dziwny gumowy balon bywa raz tak dmuchany, że pokrywa większą część świata, raz skurczony tylko do półkuli, raz do użycia na Dalekim Wschodzie, kiedy indziej ograniczony do Ameryki Środkowej. "Ale ta niekonsekwencja jest rezultatem demokracji", możecie zaoponować - i słusznie. W tym, a także pod innymi względami Stany Zjednoczone mają les défauts des ses qualités. Niekonsekwencja może być wyrazem prawdziwie demokratycznej polityki zagranicznej, ale pozostaje wadą.

Amerykańska polityka względem Nikaragui jest tego najlepszym przykładem. Stany Zjednoczone pozwoliły Sandinistom wygrać, ale są wyraźnie nieprzygotowane ani do współpracy z nimi, ani do ich obalenia. Zamiast tego, jesteśmy świadkami niewypowiedzianej wojny przeciwko Sandinistom. /Etykieta "tajna wojna" jest śmiesznym terminologicznym

błędem/. Ta brudna lokalna wojna sprawia Stanom Zjednoczonym najpoważniejsze kłopoty.

Amerykańscy politycy podają cztery główne cele swojej polityki: w polityce zagranicznej Sandiniści powinni być skłonni do zerwania więzów z ZSSR i niepopierania "terroryzmu i ruchów wywrotowych za granicą" /tj. salwadorskiej partyzantki/, a w polityce wewnętrznej do ograniczenia rozbudowy potencjału wojskowego i przejścia do pluralizmu, wolnych wyborów, poszanowania praw człowieka itd.

Z dwóch wewnętrznych względów ta niewypowiedziana wojna jest nie tylko nieefektywna, ale wręcz szkodliwa. Dość naturalnie w odpowiedzi na wzmoczoną agresję kontrrewolucji Sandiniści wzmogli a nie ograniczyli militaryzację kraju. Wojna nie tylko nie zachęciła do "liberalizacji", lecz przyniosła zawieszenie swobód obywatelskich, nacisk cenzury, wzrost represji - i to wszystko "zalegalizowane" przez stan wyjątkowy, wprowadzony, kiedy partyzantka "kontras" wysadziła dwa duże mosty na początku 1982 roku.

Jest możliwe, nawet prawdopodobne, że Sandiniści, tak czy inaczej, poszliby w tym kierunku. Twierdzą, że ich rewolucja wyróżnia się od wcześniejszych socjalistycznych rewolucji "neutralnością, mieszaną ekonomii i pluralizmem". "Pluralizm" jest najważniejszym elementem, będąc jedynym skutecznym gwarantem pozostałych dwóch. Jest również najmniej przekonującym, kiedy spojrzeć na role innych partii politycznych, działalność nowych organizacji masowych, związków zawodowych, prasy, radia lub stosunków z Kościołem. Jeśli zadamy podstawowe leninowskie pytanie - kto nad kim sprawuje władzę? - odpowiedź jest jasna: Sandiniści nad wszystkimi innymi. Wojskowi i siły bezpieczeństwa nie są odpowiedzialni przed nikim prócz FSLN. Wszystkie główne polityczne decyzje są wydawane przez Narodowy Dyrektoriat. Przynajmniej trzech komisarzy /Tomás Borge, Bayardo Arce, Henry Ruiz/ są leninistami, którzy mają jasny pogląd na to, co chcą zrobić.

Precedens historyczny wskazuje, że można spodziewać się, iż w każdych warunkach wygrają oni z przedstawicielami "trzeciego nurtu", takimi jak Daniel Ortega, którzy mają raczej mgliste pojęcie o tym, co chcą zrobić. Ruch opozycyjny, kierowany przez Arturo Cruz przetrwał, ale znajduje się w ciągłym zagrożeniu. W systemie politycznym, który próbują zbudować Sandiniści, nie znajdują przekonujących instytucjonalnych mechanizmów przekazywania czy podziału władzy, żadnych wewnętrznych ograniczeń czy przeciwwag, które w dalszej perspektywie mogłyby uchronić rewolucję przed drogą większości poprzednich "zwycięskich" rewolucji: spontaniczności degenerującej się w biurokrację, szczerości w zakłamaniu, idealizmu w egoizm, wywołania w ucisk.

Ale niewypowiedziana wojna sprzyja takiemu rozwojowi. Jest to dostarczenie argumentów dla leninistów, przyspieszenie biegu nikaraguańskiej rewolucji w kierunku nowego narodowego wariantu leninowskiej dyktatury. Pod tym względem sytuacja Nikaragui jest porównywalna do sytuacji Kuby sprzed 20 laty. Wpływ wojny na opinię publiczną wydaje się obosieczny. Poparcie dla Sandinistów jest silniejsze na prowincji, gdzie chłopci zyskali ziemię, niż w miastach, których mieszkańcy ponoszą główny ciężar braków i racjonowania żywności. Ale reprezentant FSLN do Sandinowskiego Komitetu Obrony /CDS/ powiedział: "Nie mamy fasoli, mleka w proszku, pasty do zębów - i wszystko to jest winą rządu Stanów Zjednoczonych". Jest to nieprawda, ale niewypowiedziana wojna daje Sandinistom możliwość takiego tłumaczenia niepowodzeń. Poparcie dla Sandinistów jest silniejsze wśród młodych niż starych, ale dwie trzecie społeczeństwa to ludzie poniżej 25 lat, i młodzież ta porwana jest patriotycznym uniesieniem. Tak więc, to prezydent Reagan pomaga przetrwać Sandinistom. Panuje niezadowolenie z powodu powołań do służby wojskowej, ale jednocześnie armia jest pożytecznym środkiem politycznej mobilizacji i indoktrynacji. Bez wątpliwości Sandiniści i tak użyliby "Jankesów" jako zewnętrznej groźby usprawiedliwiającej represję, cenzurę i trudności rynkowe, ale Reagan

uczynił ich propagandę bardziej prawdopodobną.

Ta niewypowiedziana wojna może być również szkodliwa w odniesieniu do poparcia reżimu z zewnątrz: im większy nacisk ze strony kontrrewolucji, tym bardziej Sandiniści potrzebują broni rosyjskiej i kubańskiej, i tym bardziej stają się zależni. Z drugiej strony, z pewnym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że presja Stanów Zjednoczonych zapobiegła przekształceniu porywczej retoryki w skuteczną dla następców Farabundo Marti pomoc wojskową /"jeśli Nikaragua zwycięży, Salwador zwycięży" skandują na wiecach CDS/. Ten polityczny osąd /godzien w najlepszym razie szokowego wyroku "nie dowiedziono winy"/ pomija zasadnicze pytanie moralne: nawet jeśli środki wybrane przez USA /łącznie z użyciem siły/ prowadzą do podstawowych celów, to czy te cele jej usprawiedliwiają?

Komentując zachodnioeuropejskie reakcje na inwazję Grenady pani Kirkpatrick powiedziała nam: "Jest trudne do uwierzenia, by kraje, które były oswabdzane siłą od wojsk okupacyjnych i Quisling'owskich rządów faszystowskich, oraz które uczestniczyły w tym oswabdzaniu, były niezdolne do rozróżnienia pomiędzy siłami użytymi do podboju a siłami użytymi do oswobodzenia". Jest to rzeczywiście istotne rozróżnienie. Pani Kirkpatrick zadaje również inne ważne pytanie: kto decyduje o tym, co jest podbojem a co oswobodzeniem? Przecież jeśli ZSSR używa kiedykolwiek siły wojskowej poza swoimi granicami, jest to zawsze "oswabdzanie". Obecnie "oswabdza" ludność Afganistanu, tak jak "oswabdzał" ludy Europy Środkowej. Czy możemy po prostu zaufać słowom jednego rządu bardziej, niż innego? Dlaczego powinniśmy?

Muszę przyznać, że Kasper Weinberger zadał takie właśnie pytanie, przemawiając w Oxford Union. Jego odpowiedź brzmiała: Dlatego, że jest to amerykańska demokracja. Amerykańska polityka zagraniczna w przeciwieństwie do sowieckiej, zależy od "zgody rządzonych". Jeśli większości coś się nie podoba, może to zmienić, czego świadkiem jest Wietnam a przeciwieństwem Afganistan. Stanowi to podstawową różnicę pod względem moralnym. Jest argumentem tak ogólnym, jak prostym - pierwsza zasada.

Zgoda większości obywateli jest koniecznym warunkiem demokratycznej polityki zagranicznej, ale nie staje się automatycznie warunkiem wystarczającym. W 1770 roku większość obywateli Wielkiej Brytanii przeciwstawiała się amerykańskiej niepodległości. Polityka zagraniczna Hitlera miała w połowie lat trzydziestych poparcie większości Niemców. Jest możliwe, że jeśli jutro odbyłoby się tajne głosowanie, większość Rosjan poparłaby sowiecką politykę wobec Polski. Mr Weinberger zapytany przez jednego ze studentów Oxfordu: "Czy sądzi pan, że niemoralny akt stanie się mniej niemoralny ponieważ mamy możliwość wyboru zrobienia czegoś lub niezrobienia?... Czy ludzie, którzy są torturowani, zabijani i terroryzowani przez reżimy w Ameryce Środkowej myślą, że jest to bardziej moralne, ponieważ Kongres to aprobował?" /Głośny i przedłużający się aplauz/.

A więc potrzebna jest druga zasada prawdziwie demokratycznej polityki zagranicznej: zasada poszanowania woli większości obywateli zainteresowanego kraju. Jest to na pewno moralna zasada stojąca za wyborami w Salwadorze. Jest to również zasada, dzięki której, jak sądzę, USA mogłyby być moralnie usprawiedliwione w użyciu siły, pomagając Polakom pokonać generała Jaruzelskiego - jeżeli byłoby to możliwe bez ryzyka wojny w Europie i nuklearnego unicestwienia, a oczywiście nie jest. To, że większość Grenadyjczyków witała piechotą morską USA jest zasadniczym elementem dla demokratycznego usprawiedliwienia inwazji. Przepuszczalnie mogłoby to być usprawiedliwieniem dokonania inwazji w Nikaragui, ale byłoby to niesłuszne. Po moim pobycie tam mogę sądzić, że większość Nikaraguańczyków ma za złe Stanom Zjednoczonym niewypowiedzianą wojnę przeciw ich krajowi i nie poparłaby inwazji, jak to zrobili Grenadyjczycy. Jest to zadeklarowane stanowisko przywódców konserwatywnej opozycji, takich jak Arturo



Cruz. A zatem, inwazja byłaby podbojem a nie oswobodzeniem.

Prezydent Reagan stwierdza: "Nie powinniśmy i nie będziemy chronić rządu nikaraguańskiego przed gniewem jego własnego narodu". Określić finansowanie, zbrojenie i szkolenie kontrrewolucjonistów jako "nieochronianie rządu Nikaragui przed gniewem własnego narodu", zasługuje na nagrodę Kadafięgo z dziedziny bzdury. Według tej zasady Reagan powinien poprosić Kongres o wysygnowanie 21 milionów dolarów dla IRA, a później zobaczyć, jakiego przyjęcia dozna w Irlandii.

Pani Kirkpatrick może uważać, że Nikaraguańczycy nie wiedzą, co jest dla nich dobre. Nie wiedzą, jak bliscy są totalitarnym okrucieństwom. Może nawet ma ona rację. Musimy jednak pozwolić, aby sami się o tym przekonali. Prawo do robienia tego, co może być dla nas niedobre /palenie, picie, pisanie tego artykułu/, jest fundamentalnym prawem człowieka. Zaprzeczając mu, narzucając innym ludziom to, co uważamy za obiektywnie dla nich najlepsze, "zmuszając ich do wolności" jest w najlepszym wypadku paternalizmem a w najgorszym filozofią Związku Sowieckiego.

W tym punkcie mogą zgodzić się z neokonserwatywnym zarzutem, że podczas gdy tradycyjne dyktatury są przemijające i zmienne, totalitarne dyktatury typu sowieckiego są niezmiennie i wręcz wieczne. Jest to oczywiście sowiecki punkt widzenia: koło historii nigdy się nie cofa.

Z pewnością leninizm jest przewodnią zasadą kilku najtwardszych i najtrwalszych dyktatur w dziejach. Leniniści wygrywają w większości "zwyckich" rewolucji socjalistycznych z tej samej przyczyny, dzięki której Lenin zwyciężył w rewolucji rosyjskiej: prostodusznemu traktowaniu siły jako jedyne go środka. Jest to powód, dla którego leninizm tak bardzo odpowiada Fidelowi Castro. To, co jest nieprzekonywujące w tej argumentacji, to przecenienie wewnętrznej skuteczności marksistowsko-leninowskiego systemu politycznego, jego wyniesienie, z jednej strony przez marksistów-leninistów a z drugiej przez neokonserwatystów, do stanu nadludzkiej siły, jego gloryfikacja przez pierwszych i demonizacja przez drugich.

Oczywiste jest, że leninowskie "totalitarne dyktatury" rozpadłyby się od dawna we wszystkich krajach Europy Środkowej /Niemcy Wschodnie, Polska, Węgry, Czechosłowacja/, gdyby nie siła Związku Sowieckiego. Jedyną rzeczą, która zapobiega cofaniu się koła historii w Polsce dnia dzisiejszego jest Armia Czerwona. "Solidarność" ostatecznie udowodniła /jeśli w ogóle trzeba było to udawadaniać/, że przypowiastka o kole historii jest bzdurą. W przypadku Wietnamu a nawet Kuby nieodzownie powstaje pytanie: jaka byłaby sytuacja reżimu marksistowsko-leninowskiego bez ogromnej ekonomicznej i militarnej pomocy ze strony bloku sowieckiego. Nikaragua jest bardzo blisko USA i bardzo daleko od Związku Sowieckiego. Jeżeli Sandinowski reżim zdegeneruje się w leninowską tyranię, jeżeli nadużycia tego systemu ostatecznie zniszczą patriotyczną podstawę legitymizacji Sandinistów, jeśli większość społeczeństwa obróci się przeciwko nim, to reżim zostanie obalony. Tam, gdzie nie panuje siła sowieckich czołgów, totalitarna dyktatura może być obalona tak jak autorytarna, dyktatura Sandinistów tak jak dyktatura Somozy.

Oczywiście, trudno jest osądzić, gdzie zbrojna interwencja w tym celu da się moralnie usprawiedliwić - gdzie podbój staje się wyzwoleniem. Przynajmniej cztery okoliczności bardzo komplikują idealną prostotę dwóch zasad przedstawionych wyżej. Po pierwsze, wszystkie dyktatury starają się zrobić to totalnie. Dlatego też bardzo często w kraju ujarzmionym trudno jest określić, czego chce większość. Polska w okresie 1980-1981 była wspaniałym wyjątkiem. Po drugie, rządzący mogą gwałcić fundamentalne prawa ludzkie mniejszości za zgodą /aktywną lub pasywną/ większości. Prześladowanie Żydów przez Hitlera jest w

naszych czasach klasycznym tego przykładem. Istnieje wówczas silny moralny argument przemawiający za zewnętrzną interwencją w celu obalenia prześladowanej większości. Po trzecie, rządy mogą za zgodą rządzonych grozić lub gwałcić prawa sąsiadujących narodów. Znowu Hitler dostarcza tu najlepszego i najgorszego przykładu. Na koniec, militarna obecność innego państwa może znacząco wpłynąć na światową strategię i równowagę polityczną.

Wszystkie te okoliczności dyskutowane były w przypadku Nikaragui. Trzy ostatnie w sposób oczywisty zawierają w sobie konflikty "moralnych interesów", według szczególnego języka komisji Kissingera. Przynębiające jest to, że tak wielu amerykańskich polityków radośnie udaje /tak jak Kissinger/ lub kłiwie wierzy /tak jak Jim Wright/, że tak nie jest.

Moim zdaniem żadna z tych okoliczności nie usprawiedliwiałaby jak dotąd zbrojnej interwencji w Nikaragui. Mimo, że Sandiniści czynią wszelkie wysiłki, by oszukać na sposób sowiecki odwiedzających ich kraj dziennikarzy i sfluimili głosy niezależnej opinii publicznej, jest jeszcze ciągle możliwe, aby tę opinię poznać. Sposób w jaki Sandiniści traktowali Indian Miskito był straszny, ale nie wierzę, że ten reżim wyprodukował już taki rodzaj systemowego barbarzyństwa, który mógłby usprawiedliwić pogwałcenie zasady samostanowienia narodu. Nie robi na mnie wrażenia dowód, że Stany Zjednoczone wyprodukowały broń, którą Nikaragua dostarcza partyzantom w Salwadorze. /Na odprawie przed wyborami w Salwadorze doradca wojskowy Stanów Zjednoczonych dumnie demonstrował północnokoreański pocisk/. W każdym przypadku jedyną usprawiedliwioną reakcją na takie militarne dostawy w takich państwach jak Honduras i Salwador jest ich zakaz. Wreszcie, nie jestem przekonany, że Nikaragua staje się sowieckim satelitą i bazą militarną. Sądzę, że USA ma prawo i, rzeczywiście, obowiązek zapobiegania poważnej rozbudowie militarnej ZSSR, ale myślę, że tutaj ten cel nie został osiągnięty i że istnieją środki zapobiegania inne niż zbrojna interwencja. Nie sądzę, by usprawiedliwione było użycie siły przeciwko krajowi tylko dlatego, że zamierza głosować przeciwko nam w ONZ.

Jest to mój osobisty sąd. Jest to sąd dzielony przez wielu przyjaciół w Zachodniej Europie, natomiast wielu ze Wschodniej i Środkowej Europy głęboko się z tym nie zgadza. Argumentują oni, że czwarta okoliczność, tj. światowa wojna z ZSSR przekreśliła wszystkie pozostałe. Według mojego doświadczenia prezydent Reagan i pani Kirkpatrick są równie popularni we Wschodniej Europie jak niepopularni w Zachodniej. Więc, kto w końcu powinien tutaj rozstrzygnąć?

Od niemal stu lat liberałowie /szczególnie liberałowie amerykańscy/ szukają dróg ustalenia demokratycznej roli międzynarodowej społeczności. Gdybyśmy mogli stworzyć - tak jakby światową większość - z pewnością pomogłoby to w tworzeniu prawdziwie demokratycznej polityki zagranicznej. Nie jesteśmy jednak zbyt blisko tego celu. Ciągłe żyjemy w świecie starożytnych zasad - tych politycznych dinozaurów. Jest ich teraz nawet dużo więcej a dużo mniej demokratycznych i wolnych. Dlatego też dla rządu największej światowej demokracji proces międzynarodowego dialogu jest najbardziej paskudnym, drobnym interesem, jaki kiedykolwiek się zdarzył - interes przemawiania do demokratycznie wybranych rządów w wolnych krajach, do ich narodów, i gdzie to możliwe, do wolnych ludzi w zniewolonym kraju, takim jak Polska. Ich oceny także nie muszą być takie jasne; będą częściowe, kolorowane przez historię i narodowe interesy. Rzadko będą spójne.

Chociaż czasami znajdzie się wyraźna większość pośród wolnych narodów, z którymi można cokolwiek uzgodnić, np. oni, jak większość Nikaraguańczyków, potępia zaminowanie nikaraguańskich portów, będą krytykować niewypowiedzianą wojnę i przychylić się do wynegocjowanych ustaleń, proponowanych przez grupę Contadory. Jeśli później zignorujecie ich i pójdziecie starą drogą, zachowacie się niedemokratycznie,

nawet wtedy, kiedy macie u siebie poparcie większości. Jeśli w takich momentach Stany Zjednoczone uznają, że ich rząd zachowuje się demokratycznie i wg. zasad moralnych, będą przypominać dumną ale głupią matkę krzyczącą na paradzie kadetów: "Patrz Ronni, to jedyny, który utrzymuje krok".

Oczywiście są i tacy zachodnioeuropejczycy, którzy nigdy nie będą zadowoleni, którzy przyjmują inne ideologie, dla których antyamerykanizm posiada racjonalne kulturowe i historyczne korzenie. Pośród tych studentów Oxfordu, którzy głosowali przeciwko Weinbergerowi byli i tacy - może i sporo - którzy oceniali Stany Zjednoczone poprzez głoszone ich własne zasady moralne. Oni byli prawdziwie odstraszeni przez perspektywę tego, iż USA będą prawnie wprowadzać przemoc w Ameryce Środkowej. Oni mają rzeczywiście ten "abstrakcyjny, pozaklasowy stosunek do problemu suwerenności i prawa narodów do samostanowienia," nad którym to "Prawda" tak ubolewała w 1968 roku.

Timothy Garton Ash

Tłumaczenie z "The New York Review of Books" vol. XXXI, nr 18, 22 listopada 1984.

## Wejdą, nie wejdą ...

Administracja Cartera okazywała znaczne zainteresowanie sprawami polskimi i od początku 1977 roku wykorzystywaliśmy każdą okazję aby dać wyraz naszej sympatii. Prezydent wybrał Polskę jako pierwszy kraj, w którym złożył oficjalną wizytę zagraniczną. Amerykańska pomoc ekonomiczna dla Polski została utrzymana i wręcz stopniowo podwyższana. Podtrzymano zarówno rządowe jak i pozarządowe kontakty z polskimi przywódcami. Od pewnych osobistości otrzymałem jednoznaczne sygnały, że sytuacja wyraźnie się pogarsza i że prosowieckie elementy w Polsce świadomie przeszkadzają w realizacji polskich programów ekonomicznych celem utrzymania zależności Polski od Związku Sowieckiego. Uwzględniając fakt, że sygnały te pochodziły z wysoko postawionych i oficjalnych źródeł czułem, że sytuacja w Polsce zmierza do stadium krytycznego. W początkach września 1979 poinformowałem Prezydenta, że rozwój sytuacji w Polsce przedstawia "znaczącą zmianę w świecie sowieckim i jest objawem zmniejszania się sowieckiej kontroli" oraz stwierdziłem, że powinniśmy zintensyfikować zarówno nasze kontakty z Polską, jak i naszą pomoc ekonomiczną. W końcu 1979 i na początku 1980 roku odbyły się posiedzenia PRC i SCC\*) poświęcone tej sprawie. Ich efektem była decyzja o kontynuowaniu naszej polityki spokojnej pomocy.

\*) PRC - Policy Review Committee; SCC - Special Coordination Committee. Każdy prezydent USA ma wolną rękę w zorganizowaniu pracy konstytucyjnego ciała doradczego d/s polityki zagranicznej czyli NSC - National Security Council. W skład NSC wchodzi: prezydent, wiceprezydent, sekretarz stanu, sekretarz obrony i na życzenie prezydenta: dyrektor CIA, przewodniczący kolegium szefów sztabów oraz doradca prezydenta d/s bezpieczeństwa państwa. Tym ostatnim był za prezydentury Cartera autor - Zbigniew Brzeziński. NSC poza wymienionymi osobami to oczywiście cały sztab doradców i urzędników, których należy zorganizować w funkcjonalne ciała doradcze - komitety. Carter, który, w przeciwieństwie do swego następcy Reagana, w dużo większym stopniu

W sierpniu 1980 sytuacja w Polsce uległa zmianie. Wolny ruch związkowy "Solidarność" dążył do coraz większej niezależności od partyjnej kontroli. Nie było najmniejszych wątpliwości, że następowało ożywienie ducha narodowego i że władze w Warszawie, a tym bardziej w Moskwie były w kłopotach - jak zareagować. 25 sierpnia usilnie nakłaniałem Prezydenta, by podkreślił zainteresowanie wydarzeniami w Polsce w prezydenckich listach do premier Thatcher, prezydenta Giscarda, kanclerza Schmidta, a także do Papieża i zainicjował wymianę poglądów na ten temat, z myślą o wypracowaniu wspólnej polityki Zachodu. Listy donosiły również o naszym zanepokojeniu możliwością interwencji sowieckiej. Doprowadziło to w konsekwencji do wstępnych konsultacji Departamentu Stanu z jego odpowiednikami w Europie na temat możliwych środków zaradczych w przypadku wkroczenia Sowietów.

W początkach września ALF-CIO zdecydowała się na dostarczenie pomocy finansowej dla dopiero co powstałego polskiego ruchu związkowego. Byłem zmartwiony dowiedziawszy się, że Prezydent zaaprobował inicjatywę Muskiego /sekretarza stanu - red./ o powiadomieniu ambasadora sowieckiego, że rząd USA nie miał z tą akcją nic wspólnego. Zadzwońnięm do Muskiego i wymogłem na nim przynajmniej tyle, by wezwał również ambasadora polskiego po to, aby nie stwarzać wrażenia, że zaakceptowaliśmy pozycję Polski jako wasala Związku Sowieckiego i tym samym jesteśmy winni wyjaśnienia tylko Sowietom. W obrębie rządu nasze międzyagencyjne dyskusje na temat pomocy dla Polski posunęły się do przodu i w połowie września byliśmy gotowi z ogłoszeniem dodatkowych kredytów dla Polski. Przez cały ten okres można było mówić o dobrej współpracy na ten temat pomiędzy NSC, sekretarzem stanu, obrony i handlu. Wszyscy zainteresowani wykazali zrozumienie dla poglądu, że konsolidacja demokratyzującego się systemu w Polsce w sposób istotny wpłynie na równowagę Wschód-Zachód. Część wręcz czuła, że mogłoby to stworzyć warunki wstępne dla zanikania powojennego podziału Europy.

Pod koniec września, a z całą pewnością na początku października sytuacja zaczęła wyglądać złowieszczo. Pojawiły się sygnały o możliwości sowieckiej interwencji. Zacząłem zwoływać SCC celem dokonania przeglądu środków, którymi dysponowaliśmy na okres ewentualnego kryzysu. Dało to możliwość wpłynięcia na kształtowanie naszej polityki względem Polski. Dopilnowałem, by w czasie zbliżającego się spotkania z Gromyką sekretarz Muskie zakomunikował mu w sposób jasny i jednoznaczny, że Stany Zjednoczone oceniają jakakolwiek interwencję sowiecką jako poważne zagrożenie pokoju. W trzecim tygodniu października SCC mógł aprobować serię określonych kroków, których zamierzeniem było poważne ukaranie Związku Sowieckiego w przypadku interwencji militarnej. Użyliśmy tych decyzji jako podstawy do konsultacji z sojusznikami.

-----  
sam kształtował i kontrolował politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, zmniejszył zwyczajową liczbę kilku - kilkunastu komitetów i podkomitetów do dwóch: PRC i SCC, co ułatwiło mu wspomnianą kontrolę.

PRC - przygotowywał decyzje prezydenta dotyczące polityki zagranicznej, obronnej i narodowych spraw ekonomicznych. Posiedzeniom przewodniczył zwykle Sekretarz Stanu.

SCC - zajmował się dziedziną delikatnych problemów bezpieczeństwa i działalności tajnej, problemami polityki kontroli zbrojeń i rozwiązywanie sytuacji kryzysowych. Kierował nim Z. Brzeziński.

Pewną ciekawostką jest fakt, wynikający z lektury pamiętników Z. Brzezińskiego, że problemy bezpieczeństwa państwa, a szerzej polityki zagranicznej USA nigdy nie były poruszane na posiedzeniach całego rządu i administracja Cartera załatwiała je w obrębie NSC. Nieliczne posiedzenia całego gabinetu, na których poruszano jakieś sprawy trzeciorzędnej wagi były tak mało znaczące, że Brzeziński zwykle dyskretnie zajmował się przeglądaniem pod stołem swoich notatek. /red./

Przez cały ten okres kierowała mną myśl, że Stany Zjednoczone muszą uniknąć pomyłki popełnionej w 1968 roku, kiedy to zaniechały zakomunikowania Sowietaom przed ich interwencją w Czechosłowacji o skutkach takiej interwencji dla stosunków Wschód-Zachód, a dla Związku Sowieckiego w szczególności. Zgodnie z tym moja strategia polegała na spowodowaniu wcześniejszego porozumienia co do różnych akcji, które będą zastosowane i uczynienia tego faktu na tyle znanym publicznie, na ile to tylko było możliwe. W ten sposób Sowieci mieli być poinformowani o następstwach oraz o fakcie naszego politycznego zobowiązania się do podejmowania akcji. Miałem świadomość, że nie będzie to czynnikiem decydującym w sowieckich kalkulacjach, ale czuję, że w określonych warunkach mogłoby to spowodować coś więcej niż marginalną różnicę w przypadku wewnętrznych rozgrywek na Kremlu. Zgodnie z tym, w końcu listopada wysłałem zarówno Muskiemu jak i Brownowi /sekr.obrony - red./ memorandum. Zakładałem, że będzie ono krążyć wśród ich współpracowników i może nastąpić przeciek informacji. W memorandum stwierdziłem, że w mojej ocenie interwencja sowiecka spowoduje zerwanie politycznej detente w Europie, zburzy współpracę ekonomiczną Wschód-Zachód, wywoła wzrost budżetów NATO, spowoduje poważne napięcia pomiędzy zachodnioeuropejskimi partiami komunistycznymi a Związkiem Sowieckim, może wzbudzić zaburzenia w którymś z państw bloku sowieckiego i najprawdopodobniej doprowadzi do jawnej współpracy wojskowej amerykańsko-chińskiej. Miałem również nadzieję, że w swoich publicznych komentarzach Muskie i Brown wykorzystają tę listę. Sam od siebie naświetlałem tło sprawy na odprawach z niektórymi przedstawicielami prasy.

Sytuacja niemal dojrzała w pierwszych dwóch tygodniach grudnia. Dowiedzieliśmy się, że siły sowieckie zostały rozmieszczone w sposób ofensywny, zamknięto pewne odcinki granicy wschodnioniemiecko-polskiej i polsko-sowieckiej i otrzymywaliśmy coraz liczniejsze sygnały przyspieszenia przygotowań lotnisk, składów a nawet szpitali. Trzeciego grudnia zwołałem naradę w moim biurze z udziałem Browna, Muskiego i Turnera /szefa CIA - red./. Zgodziliśmy się, że prezydent winien złożyć oficjalne oświadczenie z wielokrotnym powtórzeniem w tekście, dla podkreślenia wagi, że jakkolwiek akcja sowiecka mogłaby mieć daleko idące konsekwencje w stosunkach Wschód-Zachód oraz, że polityka amerykańska względem Związku Sowieckiego będzie bezpośrednio i bardzo niepomysłnie naruszona. Dodatkowo podjęliśmy decyzję wysłania telegramu do Breżniewa, powtarzającego te punkty z równoczesnym podkreśleniem naszego stałego stanowiska, że Stany Zjednoczone nie mają żadnych zamiarów wykorzystania wypadków w samej Polsce dla zagrożenia prawnie uzasadnionych interesów bezpieczeństwa Sowietaów. Byłem zadowolony, że Stany Zjednoczone wystąpiły teraz oficjalnie, co różniło się od naszej pasywnej postawy przed akcją sowiecką na Czechosłowację. Dalsze sygnały upewniły mnie, że nasi sojusznicy będą równie twardzi. Szczególnie istotnym było zapewnienie, które otrzymałem od niemieckiego ambasadora, że Niemcy Zachodnie stosują sankcje ekonomiczne przeciwko Związkowi Sowieckiemu w przypadku sowieckiej interwencji wojskowej. Biorąc pod uwagę skalę niemieckich kredytów i handlu ze Związkiem Sowieckim było to niewątpliwie niezwykle ważne wzmocnienie naszych wysiłków zmierzających do powstrzymania Sowietaów.

W piątek 5 grudnia o godz. 9:10 otrzymałem tajnym telefonem informację od Turnera, że zgodnie z wiarygodnymi danymi pewna ilość dywizji sowieckich otrzymała rozkaz wkroczenia do Polski w poniedziałek rano. Natychmiast powiadomiłem o tym Prezydenta oraz uprzedziłem go o zwołaniu posiedzenia SCC na dzień następny w przypadku pojawienia się dalszych informacji potwierdzających raport, że Polsce grozi inwazja. Prezydent powiedział mi, abym zaplanował również posiedzenie NSC w Białym Domu na niedzielę, na które wróci z zaplanowanego weekendu z Camp David. Na posiedzeniu SCC, odbytym w sobotę o 16:00 Tur-

ner poinformował nas, że należy przewidzieć wkroczenie dywizji sowieckich do Polski w ciągu najbliższych 48 godzin i że towarzyszyć temu będą sankcje administracyjne polskiego reżimu komunistycznego przeciwko ruchowi "Solidarność". CIA oceniła, że spotka się to z narodowym oporem i znacznym rozlewem krwi. Byłem nieco sceptyczny wobec poglądu, by całe polskie przywództwo mogło być w zмовie i dlatego podejrzewałem, że wiadomość o możliwości zastosowania sankcji administracyjnych /a więc internowania - red./ wypłyną zanim jakkolwiek interwencją dojdzie do skutku. Stosownie do tego poinstruowałem naszą ambasadę w Warszawie, aby przyłożyła się do raportów politycznych z Polski.

Posiedzenie NSC odbyło się w niedzielę o 9.00 rano w Sali Gabinetowej. Ponownie dokonano przeglądu informacji wskazujących na to, że Sowieci wkroczą do Polski pod pozorem "ćwiczeń pokojowych" i że będzie to połączone z równoczesną masową akcją represji administracyjnych przeciwko ruchowi "Solidarność". Prezydent zdecydował wydać ostre w tonie oświadczenie publiczne, jak również wysłać depezy do rządów liczących się państw świata, w których nalegano, by zaangażowały się zarówno w sposób oficjalny jak i kanałami nieoficjalnymi w akcję onieśmiania Sowieców. Wczesnym popołudniem prowadziłem posiedzenie SCC, na którym zredagowano treść tej depezy a następnie poinformowano prasę i liderów kongresowych o tym, co się może wkrótce zdarzyć. Dodatkowo, własnymi kanałami, zaaranżowałem przeprowadzenie rozmów telefonicznych mających ostrzec przywódców "Solidarności" w Warszawie tak, by mogli podjąć środki ostrożności zabezpieczające ich osobiście przed nocnymi porwaniami.

Na koniec, za zgodą Prezydenta, zatelefonowałem do Papieża wyjaśniając mu sytuację. /Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem dzwoniło do Papieża ze Stanów Zjednoczonych, ale uzyskałem połączenie wczesnym popołudniem czasu watykańskiego. Pierwszą odpowiedzią sekretarza, po moim przedstawieniu się i prośbie o rozmowę z Papieżem, było "zobacz, czy będę w stanie go znaleźć". Papież podszedł do telefonu po 30 sekundach i można powiedzieć, że historycznie była to rozmowa jedyna w swoim rodzaju. Oto Doradca Prezydenta Stanów Zjednoczonych d/s Bezpieczeństwa Państwa rozmawia i Rzymskim Papieżem po polsku na temat pokoju w Polsce/.

Sytuacja pozostawała napięta przez następnych kilka dni, a CIA wskazywała, że zasięg interwencji sowieckiej mógł być nawet większy niż początkowo przewidywano. Rozpoznano dodatkowe dywizje gotowe do drogi i - według doniesień prasowych - w zakres przygotowań wchodziło zorganizowanie baz zaopatrzenia w materiały pędne, rozwinięcie namiotów w pobliżu szpitali polowych aby zabezpieczyć więcej łóżek dla prawdopodobnej liczby rannych, wysunięcie do przodu sił pierwszego uderzenia, w tym spadochroniarzy. W naszych wysiłkach powstrzymania Sowieców przed wkroczeniem przedsięwzięliśmy trzy dalsze kroki. W związku ze zbliżającą się wizytą Breżniewa w New Delhi nakłoniono panią Gandhi, by w sposób stanowczy wyraziła wobec Sowieców zaniepokojenie Indii taką akcją. Rozmawiałem z Lane Kirklandem z ALF-CIO i uzgodniliśmy, że należy zorganizować ogólnoświatowy bojkot wysyłki towarów do Związku Sowieckiego zarówno drogą powietrzną, morską jak i transportem kolejowym. Kirkland wydawał się być pełen optymizmu co do międzynarodowego poparcia tej akcji. Wysłałem również memorandum do Departamentu Obrony instruując ich o rodzajach broni, które mogłyby być przekazane Chinom przez Stany Zjednoczone w przypadku inwazji sowieckiej na Polskę. Znając Departament Obrony byłem prawie pewien, że istotne elementy tego memorandum dotrą błyskawicznie do opinii publicznej.

8 grudnia napisałem w swoim dzienniku: "Widzę w tym, co robimy, cztery cele: Po pierwsze, pozbawić Sowiety czynnika zaskoczenia. Zostało to już zrobione. Po drugie, zachęcić nieco Polaków do oporu,

jeśli nie zostaną obezwładnieni przez zaskoczenie, albowiem mogłoby to być czynnikiem hamującym zapędy Sowietów. Rozgłos nadawany całej sprawie ma właśnie takie działania. Po trzecie - co jest paradoksem - uspokoić sytuację w Polsce przez uwrażliwienie Polaków na to, że Sowieci rzeczywiście mogą wkroczyć. Jak dotychczas Polacy odrzucali taką możliwość a to mogło być czynnikiem nadmiernie ośmielającym ich. W tej sprawie, ściśle biorąc, mieliśmy wspólny interes z Sowietami, albowiem oni też mogli preferować pewien stopień nastraszania Polaków. I po czwarte - zniechęcić Sowiety do wkroczenia poprzez nasilenie międzynarodowych nacisków i potęgienie Związku Sowieckiego!"

Kluczowym elementem politycznego odstraszenia Sowietów była jednak zdecydowana postawa Prezydenta, który zaakceptował moją rekomendację możliwie jak najszerszego rozpropagowania wszystkich wspomnianych informacji. Zarówno rządy krajów sojusznicznych, jak i nawet część rządów krajów neutralnych, były w pełni poinformowane, a sam dostarczyłem prasie danych o szczegółach wojskowych przygotowań sowieckich. Najświeższe informacje wywiadowcze Turnera użyte zostały w dobrym celu pozabawienia Sowietów efektów utajnienia i zaskoczenia.

W ciągu dalszych kilku dni nasze wysiłki wzmocniła wyraźnie bardzo ostro sformułowana depesza Giscarda do Sowietów, choć równocześnie mieliśmy pewne sygnały o niezdecydowanej postawie Niemców. Nasze publiczne ostrzeżenia wywołały znaczne zaniepokojenie międzynarodowej opinii publicznej, co dało w efekcie pojawienie się dalszych głosów ostrzegawczych nawet wśród zachodnioeuropejskich partii komunistycznych. Pozbawiliśmy Sowietów kluczowego elementu: zaskoczenia samych Polaków. Niektórzy z nich podjęli przygotowania do narodowego oporu, w tym zatapiania kopalń, wygaszania pieców hutniczych, przerywania linii komunikacyjnych, a także okupacji i zamknięcia się robotników w zakładach, z których można było próbować oporu. Tak więc zwiększyły się dla Sowietów koszty interwencji. Nie sposób sprawdzić, czy Kreml rzeczywiście doszedł do etapu podjęcia takiej decyzji i następnie zdecydował się na jej odwołanie z powodu tak masowej reakcji. To co wiemy na pewno to to, że kroki wojskowe były w toku; ukończono przygotowania do wkroczenia, wstępne działania weszły w fazę wykonawczą i zaprzestano ich z chwilą, gdy kierowana przez USA ogólnosiątkowa reakcja stała się znana. Co więcej, należy wziąć pod uwagę pewien wpływ na Sowiety naszej wcześniejszej reakcji na agresję w Afganistanie, co musiało przyczynić się do większej wiarygodności naszej reakcji na polskie wyzwanie.

Kryzys polski był ostatnim ważnym sprawdzianem stosunków amerykańsko-sowieckich za czasów prezydentury Cartera. Prezydent poprowadził go dobrze, pewnie i spokojnie i nie ulega wątpliwości, że pojął on w pełni lekcję, jaką była dla USA niedostateczna reakcja na kryzys czeskosłowacki 1968 roku. W czasie krytycznych dni grudnia nie trzeba było przekonywać Cartera o historycznym znaczeniu pohamowania ponusięcia Sowietów. Dla tego celu był on gotów do użycia całego ciężaru amerykańskich wpływów, jak również do zajęcia takiego stanowiska oficjalnego, które przykazałoby Związek Sowiecki, że reakcja Stanów Zjednoczonych i ogólnie całego świata będzie znacznie poważniejsza, niż miało to miejsce po napaści na Afganistan. Co ważniejsze, wszyscy jego główni doradcy podtrzymywali go w tym zamierze i na ten temat nie było jakichś sporów wewnętrznych.

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

Z.Brzeziński. Power and Principle. Memoirs of the National Security Adviser 1977-81. Weidenfeld and Nicolson, London /1983/str.463-468.

## Widoczki z fin de siecle'u

Straszny i nieludzki był reżim carski. Straszna i bezwzględna carska cenzura. Nie ma jednak i nie było tak nieludzkiego reżimu, tak nieludzkiego aparatu represji, który nie dałby się podejść, przechytryć, który okazałby się całkowicie szczelny dla przepływu wolnej myśli. Okazuje się, że i okrutny carski rząd nie wypracował metod skutecznych do walki z intelektualistami, pisarzami i ich książkami. Czy możemy cokolwiek skorzystać z doświadczeń ówczesnych twórców literatury niezależnej? Nie radzilibyśmy. Klimat jest jednak znacznie bardziej surowy. Oto dowody.

Rzecz dzieje się w roku 1899. Młody wielbiciel pisze do grafa Lwa Tołstoja z Władywostoku do Jasnej Polany, posługując się pocztą państwową: "Podczas trzech miesięcy wakacji przeczytałem wszystkie Pańskie zakazane książki!..." List do adresata dociera i wzruszony graf, tą samą drogą, instruuje młodzieńca, jak można zaopatrzyć się w dalsze nielegalne wydawnictwa. Trzeba po prostu napisać i zamówić książki "w Anglii, od Czertkowa, korzystając z następującego adresu...". I nawet brak wzmianki, że adres ten powinien znajdować się "wewnątrz listu, powtarzam, wewnątrz listu a nie na kopercie". Obydwa listy doszły do adresatów nieuszkodzone.

A oto mroząca krew w żyłach opowieść o tym, jak cenzura carska została pokonana. Tak. Okazuje się, że została... Dokonał tego czynu tenże młody człowiek i starsza pani, zwolenniczka propagowanej przez Tołstoja życiowej prostoty. Przyjaciel "...przysyłał mi z Węgier, nieprzerwanie przez wiele lat, w zalakowanych kopertach - niby jako listy lub fotografie - londyńskie wydanie "Swobodnego słowa" Czertkowa. Z Jego pomocą oraz Marii Szmidt carska cenzura została pokonana".

Sposób był zaiste genialny i nieskomplikowany. Ważne było, co podkreśla się niejednokrotnie, aby kolporter tajnych druków "rozsyłał je do przyjaciół w zalakowanych kopertach". Łaku widać szpony carskiej cenzury tknąć nie śmiały.

Rozprowadzanie nielegalnej literatury było jednak tylko smutną koniecznością, bo "po zmianie reżimu cenzury nowe prawo prasowe dopuszczało drukowanie wszystkiego. Opublikowaną książkę należało jedynie obronić przed trybunałem, albo można było stracić wszystko i iść do więzienia w wypadku wyroku skazującego". Owszem, bywało i tak, ale w efekcie przyjaciele "zaczęli wreszcie wydawać w Rosji w olbrzymich nakładach najbardziej zakazane i potępione niegdyś pisma Tołstoja".

I jeszcze jednego cytatu nie mogę sobie odmówić. Instruuje on, aby mimo wszystko wydać książki zakazane już wyrokiem sądowym. Otóż: "Od prześladowań chroniła go /Czertkowa/ osobista przyjaźń z Trepowem, ministrem spraw wewnętrznych. Ten wysokiej rangi generał i polic-majster moskiewski był jego przyjacielem od dzieciństwa. Trepow był na swój sposób uczciwym człowiekiem. Prosił jedynie swojego przyjaciela o słowo honoru, że nigdy nie będzie używał hektografów. Dlatego u samego Czertkowa żadne aparaty do powielania nie były nigdy używane. Równocześnie jednak przepisywanie ręczne było zakazane przez prawo państwowe. Czertkow sprowadził Tołstojowi wspaniałego stenografa..."

Wiadomości powyższe o ciężkim losie wolnej myśli w samodzierżawnym carstwie moskiewsko-petersburskim przynosi, pełna niezamierzonego komizmu, książeczka Victora Lebrun "O Lwie Tołstoju", wydana niedawno przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Nie przytaczam ich w



tym miejscu, aby wykreować cara Mikołaja na liberalnego mecenasa sztuk i nauk. Chodzi mi tylko o to, aby zwrócić uwagę, że o ile chodzi o myśl i słowo w granicach wpływów Wielkiej Rosji, jest znacznie gorzej teraz, w wieku masowego komunikowania, niż było dawniej. I lepiej, niż będzie.

Oczywiście, trudno jest przeprowadzić całkowicie zadowalające porównanie anachronicznej cenzury sprzed bez mała stu lat i dawniejszej, z dzisiejszym skomputeryzowanym wymiarem cenzuralnej sprawiedliwości. Chodzi jedynie o uchwycenie tendencji, a ta jest wyraźna i można ją sprowadzić do porównania roli sądu w sporach między cenzurą a autorem i wydawcą.

Podobne do powyższych konstatacje nie są nowością. W wiosennych Zeszytach Literackich z tego roku Iseiah Berlin przytacza rozmowę, jaką odbył z anonimowymi rosyjskimi studentami: "Dziewczyna powiedziała, że uczono ich, iż w zeszłym wieku cesarstwo rosyjskie było jednym wielkim więzieniem, pozbawionym wolności słowa i myśli. I choć uważała, że w zasadzie jest to prawda, jakoś radykałowie mogli jeździć za granicę tyle ile chcieli, zaś dysydenci, o ile nie posuwali się do terroru, nie bywali karani śmiercią, ani nawet torturowani - zresztą i terrorystom nieraz udawało się zbiec".

Na tym właściwie można by zakończyć. Anegdota jest, morał oczywiście. Jeszcze tylko jeden wręt. Polska 1984.

Po dwudziestu kilku latach od dnia napisania opublikowano książkę Lecha Będkowskiego "Huśtawkę". Nazwisko autora znamy skądinąd, a to, skąd je znamy, każe się cieszyć, że książkę opublikowano w ogóle. Dokonało tego wydawnictwo Pojezierze, oficyna działająca poza partyjnym kolosem RSW, stąd było możliwe zaznaczenie w tekście interwencji cenzury. Jest w książce następujący epizod: bohater, szaszczuwany systematycznie przez partyjnych kolegów, członek redakcji partyjnej gazety, znajduje argumenty na swoją obronę w drukowanym w Trybunie Ludu wywiadzie z Togliattim. Zbliża się październikowy przełom. Wywiad z Togliattim miał być sygnałem zmiany kursu. I otóż teraz, po grudniowym przełomie, cenzura uznała za stosowne pewne przetoczone przez Będkowskiego cytaty z wywiadu zastąpić przez tak dobrze znane: /Dz.U.Nr 20, poz.99/. Swoją drogą, ci biedni chłopcy z cenzury, ci dopiero mają "huśtawkę". Co puścili w Trybunie Ludu w 56, okazuje się niecenzuralne w 84 w wydawnictwie Pojezierze. Aż się prosi, żeby dla ułatwienia im pracy wprowadzić orwellowskie studnie pamięci, tyle, że tego pomysłu pewnie też nie znają, jako że go uprzednio, ze względów cenzuralnych nie dopuścili do rozpowszechnienia.

Cenzurę carską cechowała znaczna paranoiczność, gdy /za Mikołaja tym razem Pierwszego/ z podręczników gramatyki pracowicie wykreślała wielokropki a z książek kucharskich określenia typu "wolny duch". Z paranoicznością obecna cenzura o wiele lepiej nie stoi, znacznie zaś zwiększyła się jej skuteczność i zasięg. Tym gorzej dla nas, żyjących w tym, udrepowanym w szaty jedynego dziedzica tradycji humanistycznych, reżimie, który z wysokości swej misji dziejowej tnie na odlew wszystko to, co arbitralnie ocenia jako niehumanistyczne. Tak, proszę państwa. "Jesteśmy w łapach humanistów", jak pisał wielki Osip Mandelstam, i miał, ciężko okupioną, rację.

Barbara Baryła

"Wykop", w oryginale "Kotłowan" jest jednym z najważniejszych utworów Andrzeja Płatonowa /1899-1951/, znakomitego rosyjskiego pisarza, już u nas upowszechnionego w obiegu oficjalnym. Niestety, część utworów Płatonowa albo nie została w Rosji wydana w ogóle, albo obłożona ideologiczną klątwą; w efekcie i u nas oficjalnie wydawać ich nie można. Sam autor, po świetnym wejściu do literatury w latach dwudziestych, został brutalnie zaatakowany przez krytykę i w latach trzydziestych nieco zmienił głos; zamiast groteskowych wizji totalitarnego świata zaczął dawać pochwałę ludzkiego trudu. Nie zmieniło to zresztą jego losu; pozwolono mu wprawdzie fizycznie istnieć, ale tylko na marginesie literatury. Zmarł w zapomnieniu w roku 1951. Do piero w okresie postalinowskim rozpoczął się jego renesans; okazało się wówczas /tak przynajmniej sądzi tłumacz "Wykopu", a nie jest w tym mniemaniu odosobniony/, że jest to, obok Bułhakowa, bodaj największy rosyjski prozaik naszego stulecia.

"Wykop" powstał na przełomie lat 1929/1930, w momencie niszczenia wsi rosyjskiej przez kolektywizację i u początku pierwszej tzw. pięcioletki, tj. forsownego planu industrializacyjnego. Jest to syntezą szaleństwa. Mrukliwy Czyklin, mędrkujący Safronow, rozmyślający Woszczew pracują w brygadzie kopaczy, która ryje tytułowy wykop pod fundamenty domu-giganta dla całego proletariatu. Jeden z robotników, denosiciel Kozłow, woli zostać biurokratą i razem ze związkowym aparaczkiem Paszkinem wizytuje prace, kierowane przez potulnego inżyniera Pruszewskiego. Jednocześnie nieopodal odbywa się kolektywizacja wsi i jej wywłaszczeni mieszkańcy szykują sobie trumny, akceptując swój przyszły los. To co ma rzekomo służyć nowemu życiu staje się więc pracą dla śmierci, bo i budowniczo wie wykopu schodzą weń coraz głębiej, niby w zbiorową mogiłę. Również mała dziewczynka, będąca - tradycyjnie u Płatonowa - symbolem nadziei, ulega зараżeniu powszechną psychozą i w końcu umrze. Jest to ostateczny wyrok; tak zamyka się unicastwiająca, płatonowska wizja, która bardzo wcześniej potrafiła uchwycić istotę systemu.

Mały fragment może dać jedynie posmak tego, czym jest pisarstwo Płatonowa. W dodatku ów posmak może być odebrany jako szczególny, bo "Wykop" został napisany celowo zepsutym językiem. W umiერającym świecie ginie również mowa, ściśnięta już dławiącą obręczą nowomowy. Zamięra energia myśli, słowa koślawieją, zdania czynią się bezsensowne. Świetny stylista, Płatonow, który gdzie indziej osiągał przejmujące efekty, opisując świat jakby od początku, z pozycji Boga-Ojca - tu szuka i znajduje odpowiedniki nędzy istnienia w nędzy słów. Bardzo to trudne do przetłumaczenia. Tłumacz starał się jak mógł o zachowanie efektu, bo bez niego "Wykop" nie byłby "Wykopem" Płatonowa...

adr

# WYKOP

## (fragment)

O świcie do biurą przyszedł Czyklin w towarzystwie nieznanego człowieka, ubranego jedynie w spodnie.

- Do ciebie, Pruszewski - powiedział Czyklin. Prosi, żeby oddać ichniej wsi trumny.

- Jakie trumny?

Wielki i nagi chłop o ciele spuchniętym od wiatru i zgryzoty nie od razu wypowiedział swoje słowo; najpierw opuścił głowę w napięciu próbując się połapać. Widocznie stale zapominał o sobie i o swych kłopotach; albo się zmęczył, albo umierał po kawałku w trakcie biegu życia.

- Trumny! - zawołał rozpalonym, kosmatym głosem. - Tarciczne trumny! Cośmy je w jaskini złożyli! Na zapas. A wy w całym parowie ryjcie. Oddaj trumny!

Czyklin powiedział, że wczoraj wieczorem, przy północnym oznakowaniu istotnie wykopano setkę pustych trumien, i że dwie zabrał dla dziewczynki; w jednej zrobił jej posłanie na przyszłość, kiedy znów zostanie bez jego brzucha a drugą podarował jej dla zabawek i wszelkiego dziecięcego dobytku; niech i dzieciak ma swą świetlicę.

- Oddajcie chłopu resztę trumien - powiedział Pruszewski.

- Wszystkie oddawaj - powiedział człowiek. - Martwego inwentarza nie starcza. Ludzie na swoje dobro czekają. Myśmy się na te trumny złożyli. Nie zabieraj dobytku!

- Nie - powiedział Czyklin. - Dwie trumny zostaw dla naszego dziecka. I tak są dla was za małe.

Nieznamy człowiek stał przez chwilę, coś sobie pomyślał i nie zgodził się.

- Nie można! A gdzie my nasze dzieci położymy? Toć zrobiliśmy te trumny wedle wzrostu. Wszystkie są pozaznaczane: kto ma gdzie włożyć. Przecie każdy u nas żyje dlatego, że ma swoją trumnę: to teraz nasze całe gospodarstwo. Myśmy te trumny przymierzali przed zakopaniem.

Do kantoru wszedł pospiesznie żółtooki chłop, dawny mieszkaniec wykopu.

- Jelisiej, związałem je w jedną kupę - powiedział do półnagiego przybysza. - Chodź, pociągniemy, póki sucho.

- Dwóch nie upilnowałeś - oznajmił Jelisiej. - W czym się teraz położysz?

- Ja się, Jelisieju Sawiczu, na własnym podwórku, pod drzewem potężnym, pod klonem dąbrowianym rozłożę! Już sobie tam pod korzeniami dołek wyszykowałem. Jak umrę, to krew moja sokami po pniu poleci wysooko!... A może myślisz, że mi się krew rozrzedziła? Że nie będzie drzewu smekować?

Półnagi stał bez wrażenia i nie odpowiadał, poczem nie zwracając uwagi na kamienistą drogę i studzący, jutrzenny wiatr poszedł z chłopem po trumny. Czyklin ruszył za nimi wpatrzony w pokryte grubą warstwą brudu i obrosłe samoobronną sierścią plecy Jelisieja. Ten zaś od czasu do czasu przystawał na miejscu i obrzucał przestrzeń sennym, opustoszałym wzrokiem, jakby przypominając sobie coś pogrążonego w niepamięci albo szukając przytulnego losu dla popadnięcia w ponury spokój. Ale wszelkie ojczyzna zaginęła dla niego bez wieści, toteż zaraz opuszczał w dół przygaszone oczy.

Trumny stały długim szeregiem na wzniesieniu, nad skrajem wykopu. Chłop, który przybiegł kiedyś do baraku, rad że trumny się znalazły

i przybył Jelisiej, zdążył już wyciercić w trumiennych przodach i tyłach otwory i połączyć wszystko we wspólny sprzęg. Teraz Jelisiej zarzucił sobie koniec liny z przedniej trumny na ramię, napiął się i niby burłak, pociągnął tarciczne skrzynki, przez suche morze świata. Cała zaś brygada, wraz z Czyklinem, stała, nie przeszkadzając Jelisiejowi i patrzyła na ślad, żłobiony w ziemi przez puste trumny.

- Wujciu, czy to byli burżuje? - spytała dziewczynka, trzymając za rękę Czyklina.

- Nie, dziecinko, - odpowiedział Czyklin. - Mieszkają w słomianych chatach, sieją zboże i jedzą z nami pospółu.

Dziewczynka spojrzała ku górze, na stare twarze ludzi.

- To na co im trumny? Przecie umierać powinni tylko burżuje a nie biedacy!

Kopacze milczeli, nie mając odpowiednich danych do zabrania głosu.

- A jeden był goły! - zawołała dziewczynka. - A ubranie przecie wtedy zabierają, kiedy ludzi nie żal, żeby im zostawić. Moja mama też goła leży.

- Córuchno, masz stuprocentową rację - zdecydował Safronow. - Odeszli od nas dwaj kułacy.

- To leć i zabij ich.

- Nie wolno córciu. Dwie jednostki to nie klasa...

- To jeden i jeszcze jeden - policzyła dziewczynka.

- Ale w ogólnej liczebności to mało - stwierdził z żalem Safronow.

- My zaś, zgodnie z planem, mamy ich zlikwidować przynajmniej jako klasę. Tak, żeby wrogowie osierocili tutejszy proletariat a także warstwę wyrobniczą.

- To co wam pozostanie?

- Zadania i jasne wytyczne dalszych przedsięwzięć. Rozumiesz?

- Tak - powiedziała dziewczynka. - To znaczy: zabijać złych ludzi, bo dobrych jest bardzo mało.

- Jesteś najzupełniej klasowym pokoleniem - ucieszył się Safronow.

- Wprowadzić małoletnia, ale wyraźnie uświadamiasz sobie wszystkie stosunki. To monarchizm potrzebował do wojaczki wszystkich, jak leci. A my tylko jedną klasę cenimy. A i ją też będziemy niedługo oczyszczali od nieświadomych elementów.

- Od kanalii - zgadła bez trudu dziewczynka. - I zostaną tylko główni ludzie. Moja mama, ta co żyła, też siebie nazywała kanalią, a teraz umarła i zrobiła się dobra, no nie?

- No, tak - powiedział Czyklin.

Dziewczynka przypomniała sobie, że jej matka znajduje się w ciemności i nie zwracając na nikogo uwagi odeszła by pobawić się piaskiem. Ale zamiast się bawić dotykała tylko czegoś obojętnie i myślała.

Kopacze podeszli do niej, nachylili się i spytali:

- Co jest?

- A tak - powiedziała, nadal nie zważając na nikogo. - Znudziło mi się u was. Nie kochacie mnie. Jak zaśniecie w nocy, to was stłukę.

Robotnicy popatrzyli na siebie z dumą. Każdy miał ochotę wziąć dziecko na ręce i utulić w objęciach, aby poczuć to ciepłe miejsce, z którego płynie rozum i urok małego życia.

Jeden Woszczew stał w smutku i słabości, mechanicznie obserwując dal. Ciągłe jeszcze nie wiedział czy w ogólnym istnieniu jest coś szczególnego. Nikt nie umiał zacytować mu z pamięci regulaminu wszechświata a wydarzenia dziejące się na powierzchni ziemi nie budziły w nim zainteresowania. Odszedłszy kawałek na bok, powoli zniknął z pola i, przez nikogo nie widziany, rad że nie uczestniczy w bezsensownych okolicznościach, przyłożył się by poleżeć.

Nieco później dostrzegł ślady trumien, wleczonych przez chłopów za horyzont, do kraju przekrzywionych i zarosłych łopianami płotów. Musiała tam pewnie panować cisza podwórkowych zakątków; a może biedniackie, kołchozowe sieroctwo tkwiło na wietrze rozstajnych dróg z

kupą martwego inwentarza. Woszczew skierował się w tę stronę krokiem automatycznie ubytego człowieka, nie uświadamiając sobie, że tylko niedostatki prowadzonej w wykopie działalności kulturalno-oświatowej nie pozwalają mu żałować budowy przyszłego domu. Mimo dość jaskrawego słońca było mu niewesoło na duszy; zwłaszcza, że w polu ścielił się mętny czad oddechu ziemi i zapach traw. Rozejrzał się wokół; unoszące się nad całą przestrzenią opary żywych tchnień tworzyły senną i duszną nieprzejrzystość. W całym świecie trwała znużona cierpliwość, jakby wszystko co żywe znajdowało się w samym środku czasu i własnego ruchu, którego początek był zapomniany a koniec nieznan; pozostał jedynie kierunek. Więc Woszczew ruszył jedną z otwartych dróg.

Tymczasem nad wykop przybył Kozłow; zjawił się jako pasażer auta, prowadzonego przez samego Paszkiina. Nosił jasnoszary, trzyczęściowy garnitur, miał twarz zeokragloną od jakiegoś ustawicznego zadowolenia i pałał mocnym uczuciem ku proletariatowi. Każdą udzielaną ludziom pracy odpowiedź zaczynał od samowystarczalnych słów: "Pięknie, ładnie!", po czym szedł ciąg dalszy. W duchu zaś lubił pogadywać: "Gdzie pani/teraz jest, mała faszystko?" i wygłaszać różne inne pieśnierskie hasła.

Tego ranka Kozłow dokonał właśnie uczuciowej likwidacji swej miłości ku pewnej przeciętnej damie. Daremnie pisała mu w listach, że go ubóstwia; w milczeniu zmagał się ze społecznymi obowiązками i uchylał zawczasu od dokonania rekwizycji jej wdzięków, a to dlatego, iż szukał kobiety w szlachetniejszym i bardziej aktywnym typie. Przeczytawszy w gazecie o przeładowaniu i nierytmicznej pracy poczty, Kozłow postanowił w drodze wstrzymania damskich listów pod swym adresem umocnić pocztowy odcinek budownictwa socjalistycznego. W związku z tym napisał owej pani ostatnią, podsumowującą wszystkie kartkę, która zdejmowała zeń miłosną odpowiedzialność:

Gdzie stół był, pełen jadła -

Tam dzisiaj trumna stoi!

Kozłow

Dopiero co przeczytał ten wiersz i spieszył się, by go nie zapomnieć. A w ogóle każdego ranka, po obudzeniu, czytał w łóżku książki a czytając zapamiętywał formuły, hasła, wiersze, nakazy, słowa pełne wszelkiej mądrości, założenia różnych aktów, rezolucje, strofy pieśni i tym podobne. Następnie zaczynał obchodzić różne organy i organizacje, gdzie go znano i szanowano jako aktywną siłę społeczną - i straszył dostatecznie już zastraszonych urzędników swoją uczonością, horyzontami i obkuciem. Prócz renty pierwszej kategorii załatwił sobie również deputat w naturze.

Pewnego razu zaszedł do miejscowej spółdzielni, nie ruszając się z miejsca wezwał do siebie kierownika i powiedział:

- Pięknie, ładnie, ale wasza spółdzielnia jest typu rocdellskiego a nie, jak to się mówi, radzieckiego! Czyli, że nie jesteście kamieniem milowym na drodze do socjalizmu!

- Nie uświadamiam sobie was, obywatelu - odpowiedział skromnie kierownik.

- A więc znowu: "i prosił biernie, miast szczęścia od nieba - chleba czarnego, powszedniego chleba"? No coż - pięknie, ładnie! - powiedział Kozłow i wyszedł w pełni swej urazy, a w dekadę później został przewodniczącym komitetu sklepowego tej samej spółdzielni, nie wiedząc, że otrzymał to stanowisko za sprawą samego kierownika. Kierownik bowiem brał pod uwagę nie tylko gniew mas ludowych, ale i jakość gniewnych jednostek.

-----  
Fragment pochodzi z wiersza Gawriła Dierżawina "Na śmierć księcia Mieszczorskiego" /przyp.tłum./

Zstąpiwszy z samochodu na ziemię Kozłów, z wyrazem mądrości, wkroczył na teren budowy i przystanął na jej skraju, by posiąść ogólny wgląd na całość tempa pracy. Co się tyczy pobliskich kopaczy, to przestrzegł ich przed praktycznym spełnieniem w bagno oportunistów.

W czasie przerwy obiadowej towarzysze Paszkin oznajmił robotnikom, iż wsioła warstwa biedniecka pełna jest smutnej tęsknoty do kołchozu, i że wypada podrzucić tam coś szczególnego spośród klasy robotniczej aby rozpalić klasowe zmagania przeciw zrębom wiejskiego kapitalizmu.

- Już dawno pora wykończyć tych dostatnich pasożytów! - stwierdził Safronow. - Przecież nie czujemy już żaru bijącego z ogniska walki klasowej! A ogień musi być! Bo inaczej gdzie się będzie grać aktywnej personal?

W rezultacie brygada wyznaczyła Safronowa i Kozłowa, żeby poszli do najbliższej wsi; niechże biedak nie zostanie w socjalizmie zupełnym sierotą albo dobrze schowanym prywatnym kanciarzem.

Żaczew, wioząc na wózku dziewczynkę podjechał do Paszkinia i powiedział:

- Przypatrz się, łobuzie, temu socjalizmowi w bosym ciele i nachyl się do tych kości, z których zezarłeś tłuszcz!

- To fakt! - powiedziała dziewczynka.

Również Safronow określił swoje stanowisko:

- Towarzyszu Paszkin, zafiksuj Nastię jako element naszej przyszłej radości.

Paszkin wyciągnął notes i postawił w nim kropkę. Wiele kropek było już starannie postawionych w paszkinowskim notesie - i każda oznaczała uwagę, zwróconą na masy.

Tego wieczoru Nastia przygotowała Safronowowi oddzielne posłanie i przysiadła, żeby z nim pobyć, Safronow sam poprosił dziewczynkę, żeby potęskniła za nim jako jedyna serdeczna miejscowa kobieta. I Nastia spędziła z nim w ciszy cały wieczór, starając się myśleć, jak Safronow odejdzie między zanudzonych w wiejskich chatach biedaków, by zostać wszawym wśród obcych.

Potem Nastia położyła się na safronowowskim posłaniu, ogrzała je i poszła spać na brzuchu Czykline. Od dawna przywykła do ogrzewania matcowego łóżka - zanim kładł się doń jej nierodzony ojciec.

Zalążnia domu przyszłego życia była już gotowa; teraz wypadało kłaść w wykopie kamienny fundament. Ale Paszkin ciągle miał w głowie świetlane myśli; zameldował przeto głównemu naczelnikowi w mieście, że rozmiary domu są za małe, ponieważ hoże i pełnokrwiste socjalistyczne kobiety pokryją całą skorupę ziemską raczkującą dzieciarnią; czy doprawdy będzie ona musiała żyć na zewnątrz, narażona na niezorganizowaną pogodę?

- Nie - odpowiedział główny, zrzucając przypadkowym ruchem ze stołu obfitą kanapkę. - Zróbcie wykop cztery razy większy.

Paszkin schylił się i umieścił kanapkę na jej stołowym miejscu.

- Nie warto się było schylać - powiedział główny. - Na przyszły rok produkcja artykułów żywnościowych została przez nas w obwodzie zaprojektowana na pół miliarda.

Na takie dictum Paszkin, bojąc się, iż zostanie wzięty za zacofańca z okresu powszechnego oszczędzania, wrzucił kanapkę z powrotem do kosza na śmieci.

Pruszewski oczekiwał Paszkinia koło budynku, aby natychmiast przekazać dyrektywę pracownikom. Paszkin jednak, krocząc przez westybul, wpadł na pomysł powiększenia wykopu nie cztero- lecz sześciokrotnie; a to dlatego, by trafić bez pudła, wyprzedzwszy linię generalną spotkać się z nią w szczerym polu i - dostrzeżony przez linię - utrwalić w niej wieczną kropkę.

- Sześć razy większy - powiedział Pruszewskiemu. - Przecież mówię, że tempo słabe.

Uradowany Pruszewski uśmiechnął się; Paszkin zaś, zauważywszy uszczęśliwienie inżyniera również poczuł zadowolenie, ponieważ znał już nastroje inżynieryjno-technicznej sekcji swego związku.

Pruszewski udał się do Czyklina, by wytyczyć poszerzony wykop. Już z daleka dostrzegł zbiorowisko kopaczy i stojący wśród milczących ludzi chłopski wóz. Czyklin wyniósł z baraku pustą trumnę i położył ją na wozie; potem przyniósł jeszcze jedną, a Nastia biegła w ślad za nim, zrywając z trumny swoje obrazki. Nie chcąc, żeby dziewczynka się pogniwała, Czyklin wziął ją pod pachę i przycisnąwszy do siebie niósł w drugiej ręce trumnę.

- Oni przecież i tak umarli, to po co im trumny? - irytowała się Nastia. - A ja nie będę miała gdzie chować rzeczy!

- Tak trzeba - odpowiedział Czyklin. - Zmarli to szczególnie ludzie.

- Też mi ważniaki! - dziwiła się Nastia. - To po co wszyscy żyją? Lepiej by zmarli i zwaźnieli.

- Po to, żeby nie było burżujów - powiedział Czyklin kładąc na wóz ostatnią trumnę. Na wozie siedziało dwóch ludzi - Woszczew i ów chłop w kułackim typie, który kiedyś odszedł z Jelisiejem.

- Dla kogo te trumny? - spytał Pruszewski.

- To Safronow i Kozłow umarli w chacie i teraz dostaną moje trumny. Więc co zrobisz? - szczegółowo poinformowała Nastia i zmartwiona niedopatrzeniem przytuliła się do wozu.

Przybyły wozem z nieznanymi okolic Woszczew popędził konia, aby powrócić na obszar swej uprzedniej bytności. Czyklin powierzył dziewczynkę opiece Łaczewa i poszedł w ślad za odjeżdżającym wozem.

Tak szedł w dal aż do głębi księżycowej nocy. Tu i ówdzie, w postronnych wązowych okolicach płonęły przytulne światełka nieznanymi ludzkimi siedzib i smętnie poszczekiwały psy; może było im nudno a może zauważyły podróżujących delegatów i czuły przed nimi lęk. Przed Czyklinem jechała przez cały czas podwoda z trumnami i kopacz starał się za nią nadążyć.

Woszczew, oparty plecami o groby patrzył z wozu w górę - w zbiorowisko gwiazd i zmartwiał, masowy męt Mlecznej Drogi. Czekał na podjęcie tam uchwały, że ziemia przestaje być wieczna i przychodzi odwet za życiowe udręczenie. Straciwszy nadzieję zdrzemnął się; zbudziło go zatrzymanie wozu.

Po kilku minutach nadszedł Czyklin i zaczął się rozglądać. Nieopodal widać było starą wioskę, pokrytą murszającą biedą. Cierpliwie postarzałe, plecione płoty i pochylone w ciszy przydrożne drzewa miały jednakowo smutny wygląd. We wszystkich chatach płonęły światła, ale na zewnątrz nie było nikogo. Zbliżywszy się do pierwszej chaty Czyklin zapalił zapałkę, żeby przeczytać wiszący na drzwiach biały papier. Na papierku stwierdzono, że jest to uspołecznione obejście numer siedem, należące do kołchozu imienia Linii Generalnej, i że tu właśnie mieszka aktywista prac społecznych, mających na celu wykonanie państwowych uchwał i wszystkich przeprowadzanych akcji.

- Puszczaj! - powiedział Czyklin, zastukawszy do drzwi.

Aktywista wyszedł i wpuścił go do środka, a następnie wypisał a-sygnatę przychodową na trumny i kazał Woszczewowi iść do rady wiejskiej i przestać całą noc na warcie honorowej u ciał dwu poległych towarzyszy.

- Sam pójde - stwierdził Czyklin.

- Wel - odpowiedział aktywista. - Tylko zostaw mi swoje dane, żeby cię wciągnął do zmobilizowanej kadry.

I pochylił się nad swymi papierami, penetrując skrupulatnymi oczyma wszystkie wyraźne założenia i zadania. Z zachłannością posiadacza, zapominając o domowym szczęściu budował niezapędną przyszłość i szkołał sobie w niej wiecznotrwałość. Toteż zapuścił sam siebie, spuścił od kłopotów i obrósł rzadką szczecina. Przed jego podejrzliwymi oczami

mi, śledzącymi myślowo i faktycznie kułacką hałastrę, płonącą lampą. Przez całą noc siedział tak przy niezgaszonej lampie nadsłuchując, czy po ciemnej drodze nie pędzi z rejonu jeździec, by nałożyć odgórnie na wieś nowe wytyczne. Każde wytyczne czytał z zachłannością przeczuwanej rozkoszy, jakby podglądając tajniki namiętności dorosłych, centralnych osób. Rzadka noc obydwała się bez wytycznych, i aktywista studiował je do samego rana, gromadząc ku brzaskowi entuzjazm niezłomnych działań. Tylko czasami zdawał się zamierać od życiowej udręki; wpatrywał się wówczas ponuro w każdego człowieka, który znalazł się przed jego wzrokiem, przypominając sobie, iż jest niedołęgą i zaniedbaluchem - bo tak nazywano go czasem w rejonowych papierach. "Czy nie powinienem czasem udać się w masy i zapamiętać się w zbiorowym, kierowanym życiu?" - zastanawiał się w takich chwilach w związku z sobą samym; szybko jednak opamiętywał się, w obawie uczestnictwa w powszechnym sieroctwie i długiej tęsknocie do socjalizmu, zanim byle pastuch nie zostanie otoczony radością. A przecież już teraz można było zostać pomocnikiem awangardy i niezwłocznie posiadać całą korzyść przyszłości.

Najdłużej oglądał podpisy na papierach, bo litery te kreśliła gorąca ręka obwodu; a przecież ręka to część całego ciała, żyjącego w dosyć sławy, na oczach oddanych i przekonanych mas. Łzy napływały mu do oczu, syconych wyrazistością podpisów i wizerunkami ziemskich kul na pieczęciach; toć przecie cały miękisz ziemskiego globu dostanie się niedługo w precyzyjne, żelazne ręce! Czyżby miał wówczas pozostać bez wpływu na wszechświatowe, ziemskie ciała? I z powściągliwością zapewnionego z góry szczęścia gładził swą wycieńczoną obowiązkami pierś.

- Czego stoisz bez ruchu? - powiedział do Czykлина. - Leć i pilnuj, żeby posiadacze nie zbeczcęścili politycznych trupów! Widzisz jak padają nasi heroiczni towarzysze!

Pogrążywszy się w ciemność kołchozowej nocy Czykлин doszedł do pustego pomieszczenia rady wiejskiej. Tu właśnie spoczywali jego dwaj towarzysze. Płonęła nad nimi największa z lamp, przeznaczona do oświetlenia posiedzeń. Leżeli razem na stole przydzielonym, okryci aż do podbródków sztandarem; aby żywi nie ujrzeli ich zgubnych obrażeń i nie balі się tak samo umrzeć.

Cykлин stanął u nóg zabitych i spokojnie zapatrzył się w ich milczące twarze. Niczego więcej nie wypowiedział z własnej głowy Safronow, a Kozłow nie zatroszczył się o całość budownictwa organizacyjnego i nie będzie otrzymywać należnej renty.

Chwile bieżące przemijały cicho w północnej, kołchozowej ciemności; nic wokół nie naruszało uspołecznionego stanu posiadania ani nie mąciło ciszy zbiorowej świadomości. Czykлин zapalił, pochylił się nad trumnami zabitych i dotknął ich ręką.

- Jak tam, Kozłow? Nudno ci?

Jednakże zaznawszy zabicia, Kozłow spoczywał w sposób milczący. Również Safronow zachowywał spokój człowieka zadowolonego z siebie, a jego rudawe, zwisające nad zwiotczalymi, półotwartymi wargami wąsy wyrastały nawet z niecałowanych za życia ust. Wokół oczu Kozłowa i Safronowa widać było zaschniętą sól byłych łez, toteż Czykлинowi przyszło ją zetrzeć i pomyśleć: czemuż to obaj przy końcu życia płakali?

- A ty co, Safronow? Rozwaliłeś się na dobre, czy jednak masz zamiar wstać?

Safronow nie mógł odpowiedzieć, gdyż jego spoczywające w zrujnowanej pierś serce nie posiadało żadnego uczucia.

Cykлин wsłuchał się w padający na dworzec deszcz i w jego przeciągły, bolesny dźwięk, rozśpiewany w liściach, płotach i cichych wiejskich dachach. Świeża ciecz przelewała się obojętnie, niby w zupełnej pustce i tylko smutek bodaj jednego zasłuchanego w ulewę człowie-



ka mógłby zrekompensować owo samowycieńczenie się przyrody. W zagrożonych zakątkach z rzadka pokrzykiwały kury, ale Czyklin już ich nie słuchał. Położył się spać między Safronowa i Kozłowa, pod wspólny sztandar; przecież martwi to też ludzie. Urzędowa lampa rozrzutnie świeciła nad nimi do rana, a Jelisiej, zjawiwszy się w pomieszczeniu, też jej nie zgasił, bo było mu wszystko jedno, czy jest jasno czy ciemno. Stał więc bezużytecznie przez jakiś czas i wyszedł tak samo jak przyszedł.

Wyszedłszy przyłgał piersią do żerdzi, przeznaczonej dla wywiezienia sztandaru i wpatrzył się w mętną szarość okolicznego pustkowi. Przed odlotem w ciepłe dale zebrały się tu właśnie gawrony, mimo że nie nadeszła jeszcze dla nich pora rozstania się z miejscową ziemią. Jeszcze przed odlotem gawronów Jelisiej widział znikanie jaskółek i zapragnął nawet wówczas stać się lekkim i mało świadomym ptasim ciałkiem. Teraz jednak nie myślał o tym, by się zmienić w gawrona; a to dlatego, że nie mógł myśleć. Żył i spoglądał oczyma na świat jedynie dlatego, że posiadał średniackie papiery i jego serce było zgodnie z prawem.

Od strony rady wiejskiej dobiegały jakieś dźwięki. Jelisiej podszedł do okna i przyłgał twarzą do szkła. Nikt nie mówił mu słów ani nie ofiarował pojęć, więc ustawicznie wsłuchiwał się we wszystkie dźwięki wydawane przez naturę lub masy, pragnąc wyczuć nawet odдалone brzmienia.

Dostrzegł Czyklina siedzącego między dwoma leżącymi na wznak ciałami, palącego papierosa i obojętnie pocieszającego słowami zmarłych.

- Zawinałeś się, Safronow? No to co z tego? Ja przecież i tak zostałem. Będę teraz taki jak ty; zacznę mądrzeć, występować z punktem widzenia, przejrzę nawskroś całą twoją tendencję... Możesz z powodzeniem nie istnieć...

Do Jelisieja dochodziły z tego przez czyste szkło jedynie dźwięki, których nie mógł zrozumieć.

- A ty, Kozłow, też się nie martw o życie. Siebie mogę zapomnieć, ale ciebie będę miał na stałe. Całe twoje umarłe życie, wszystkie zadania schowam wgiąb i nigdzie nie porzucę. Tak, że możesz się uważać za żywego. Będę aktywny dzień i noc, zatroszczę się o całą organizacyjność, na rentę pójdę. Tak, że - śpij spokojnie towarzyszu Kozłow.

Nachuchawszy na szkło mgiełkę Jelisiej słabo widział Czyklina, ale patrzył nań i tak, bo nie miał gdzie. Czyklin zaś milczał przez chwilę i czując, że Safronow i Kozłow są teraz zadowoleni, powiedział:

- Niech nawet cała klasa umrze, to i tak sam jeden za nią zostanę i wypełnię całe jej światowe zadanie! I tak nie wiem, jak miałbym żyć dla samego siebie!... A co to za morda się na nas gapi? Wejdz tu, obcy człowieku!

Jelisiej nie zwlekając wszedł do rady i stanął, nie zauważwszy, że spodnie zjechały mu z brzucha, chociaż wczoraj trzymały się jeszcze w najlepsze. Nie miał apetytu na odżywianie, toteż chudł z każdą mijającą dobą.

- To ty ich zabiłeś? - spytał Czyklin.

Podciągnawszy spodnie do góry Jelisiej już ich więcej nie opuszczał i nie odpowiadając, utkwiał w Czyklinie swe wyblekłe, puste oczy.

- No a kto? Idź i przyprowadź mi któregoś z tych, którzy zabijają nasze masy.

Chłop ruszył przez puste i wilgotne miejsce, na którym znajdowało się ostatnie zbiorowisko gawronów. Gawrony ustąpiły mu drogi i Jelisiej zobaczył chłopca, który miał żółte oczy; Chłop przystawił trumnę do płotu i wydłubując z butelki wskazującym palcem jakąś substancję, wypisywał drukowanymi literami swoje nazwisko.

- Ty co, Jelisiej? O jakim rozporządzeniu się dowiedziałeś, czy jak?

- Tak sobie - powiedział Jelisiej.

- Jak tak, to w porządku - powiedział ze spokojem piszący. - A zmarłych jeszcze w radzie nie obmyli? Stracha mam, że przyjedzie rządowy inwalida na wózku i uderzy mnie ręką za to, że dwóch umarło a ja żyję.

I chłop poszedł obmyć martwych, żeby przejawić w ten sposób swoją życzliwość i współczucie; Jelisiej zaś, nie wiedząc gdzie się najlepiej znajdować, podążył w ślad za nim.

Czyklin nie protestował, gdy chłop, zdjawszy z zabitych ubranie nosił ich kolejno w gołym stanie do stawu, zanurzał a następnie wytarłszy do sucha owczą wełną ubrał i położył oba ciała na stole.

- No dobra - powiedział wtedy Czyklin. - Ale kto ich zabił?

- Nie możemy wiedzieć, towarzyszu Czyklin. Sami przecie żyjemy niechcący.

- Niechający! - powiedział Czyklin i wykonał uderzenie w twarz chłopca, żeby ten zaczął żyć świadomie. Chłop początkowo się przewrócił, ale nie chciał się do bardzo uchylać ze strachu, że Czyklin posądzi go o jakąś zamożność; przysunął się więc bliżej, dla solidniejszego okaleczenia i wyjednania sobie poprzez cierpienie praw do biedniactwa. Zobaczywszy przed sobą taki twór Czyklin rąbnął go automatycznie w brzuch i chłop, zamknąwszy swe żółte oczy upadł na wznak.

Stojący spokojnie nieopodal Jelisiej powiedział po chwili Czyklinowi, że chłop puścił parę.

- A co, żal ci go? - spytał Czyklin.

- Nie - odpowiedział Jelisiej.

- To kładź go na środek, między moich towarzyszy.

Jelisiej zawlókł chłopca do stołu i natężywszy wszystkie siły, zwałił go w poprzek wcześniejszych trupów, a dopiero potem urządził jak należy, położywszy tuż pod bokiem Safronowa i Kozłowa. Kiedy odszedł z powrotem, chłop otworzył swe żółte oczy ale nie mogąc ich zamknąć nie ustawał odąd w patrzeniu.

- Bbę ma? - spytał Jelisieja Czyklin.

- Sam się znajdował - odparł Jelisiej.

- To po co był?

- Bo bał się nie być.

W drzwiach ukazał się Woszczew i powiedział, żeby Czyklin siedł, bo domaga się go aktyw.

- Masz tu rubla - powiedział Czyklin dając spieszenie pieniądze Jelisiejowi. - Idź na wykop, zobacz czy dziewczynka Nastia żyje i kup jej cukierków. Serce mi za nią zabiło.

Tymczasem aktywista siedział z trzema pomocnikami, ludźmi całkiem biednymi i wychudłymi od nieustannie przejawianego heroizmu, których twarze wyrażały jednakowe uczucie bezgranicznego zapamiętania. Aktywista przekazał Czyklinowi i Woszczewowi wiadomość, iż wedłu rozporządzenia towarzysza Paskina winni oni dopasować wszystkie obejmowane siły do uczynienia zadość rozwojowi kolektywizacji.

- A czy proletariатовi należy się prawda? - spytał Woszczew.

- Proletariатовi należy się ruch - udzielił informacji aktywista.

- A to co spotka po drodze, to jego; czy to prawda czy skradziona przez kulaków bluza. Wszystko trafi do zorganizowanego kotła, nawet się nie połapiesz.

W radzie wiejskiej, w pobliżu martwych, aktywista początkowo się zasmucił, ale zaraz potem przypomniał sobie o nowowznoszonych przyzwyczajeniach i uśmiechnąwszy się dziarsko kazał swemu otoczeniu zmobilizować kolchoz do konduktu - tak aby w narastającym świetlanym momencie uspołecznienia dóbr wszyscy należycie uczyli majestat śmierci.

Lewa kozłowska ręka zwiśla ku dołowi i cały zmarły korpus zwiśla ze stołu, gotów w braku świadomości upaść. Czyklin poprawił Kozłowa, zauważając przy tym, że martwym zrobiło się bardzo ciasno; było ich już czterech zamiast trzech. Czwartego Czyklin nie pamiętał, więc

zwrócił się do aktywisty w sprawie naświetlenia nieszczęśliwego wypadku, chociaż czwarty nie był proletariuszem a jakimś przechylonym na bok nudnym chłopem o zamilkłym oddechu. Aktywista zakomunikował Czyklinowi, iż ów zagrodowy element to śmiertelny szkodnik Safronowa i Kozłowa, który dając wyraz swej boleści z racji zmasowanego nań natarcia przyszedł tu, położył się na stole między trupami i osobiście umarł.

I tak bym go za pół godziny znalazł - powiedział aktywista. - Żywiołu u nas nie uświadczysz i nikt nie ma się gdzie podziąć. A co to za zbyteczna postać tutaj leży?

- Tego to ja wykończyłem - wyjaśnił Czyklin. - Pomyślałem, że przyszedł jakiś cholernik i naprasza się na bicie. Przyłożyłem mu i zasiał.

- To i dobrze! Rejon i tak by mi nie uwierzył, że był tylko jeden morderca. A dwóch - to już kułacka klasa i organizacje jak się patrzy!

Tłumaczył Andrzej Drawicz

## Przygody w Księstwie Nieśmiałości

### Słowo od autora

Jak ci wytłumaczyć, gdzie leży ten dziwny kraj. Nawet nie wiem ile masz lat, sześć czy sześćdziesiąt. Po dłuższym zastanowieniu dochodzę do wniosku, że nie ma to żadnego znaczenia. Mając lat sześć można dopisać zero, lub poczekać pięćdziesiąt cztery lata i efekt będzie ten sam. Dlatego powiem ci jak tam dojść. Musisz przejść siedem ulic, za siódmym rogiem odnajdziesz starą, pełną pajęczyn kamienicę. Na jej siódmym piętrze - odrapane drzwi z numerem siedem. Zapukasz siedem razy, otworzy ci siedem młodych wiewiórek, które jednocześnie spytają: co robisz o siódmej wieczorem tak daleko od domu? Odpowiesz: siedziałem cały tydzień, bo ktoś powiedział mi, że właśnie tutaj zaczyna się siódme niebo. Wtedy wiewiórki zastygną z uśmiechem na rudych pyszczkach, a ty po raz pierwszy przekroczysz próg Księstwa Nieśmiałości. Później radź sobie sam.

### Krótką historia Księstwa Nieśmiałości

Książę Śmiałyk III był tak nieśmiały, że nie potrafił nawet zaprzeczyć. Po prostu nigdy i nikomu nie potrafił powiedzieć nie. Co prawda najstarsi obywatele Księstwa Nieśmiałości utrzymują, iż pamiętają takie czasy, kiedy dziad obecnego księcia zdołał powiedzieć nie. Było to podczas rautu z zaprzyjaźnionymi władcami, w trakcie którego ów dziad Nieśmiałyk I miał się przedstawić. W sekundę później rozpląkał się i łkając wyznał, że wstydzi się powiedzieć nie. Brzmiało to tak: wybacz-łyk-cie mi, ale nie potrafię-łyk mówić-łyk nie... Śmiałyk jestem.

I tak przez to pochlipywanie i łkamie został Śmiałykiem. Zresztą wszyscy obywatele Nieśmiałości mieli podobne kłopoty. Bohusz Niewidomy widniał w książce telefonicznej pod w, jako Widomy, Robi Nieznany bezczelnie jako Znany.

Ta nieśmiałość przejawiała się właściwie na każdym kroku, a już najbardziej nieszczęśliwi byli ci, których z wyroku sądowego skazywano na piastowanie stanowisk państwowych: burmistrz, wójtowie, namiestnicy.

Próbowali różnych wykrętów byleby tylko nie urzędować. Wywieszali kartki: remanent, albo nie przyjmuję, bo się boję itp.

W istocie było to zupełnie zbyteczne, bowiem i ewentualni petenci również się bali. Owszem były rzadkie wypadki, kiedy jakiś desperat postanowił coś załatwić.

Cała rodzina odprowadzała go wówczas pod drzwi, a ten nieszczęśnik trząsł się jak każdy z nas przed gabinetem dentystycznym.

Stan ten trwał do momentu, kiedy delikwent nie odczytał na drzwiach stosownej karteczki. Wtedy radosny w glorii bohatera zbiegał do oczekującej go rodziny. Śmiechom i żartom nie było końca, nawet przysłowiowa nieśmiałość jakby znikła.

Takie to szczęśliwe dni rządziły życiem mieszkańców Księstwa Nieśmiałości.

Zresztą sam wiesz jak to jest.

Znany już książę Śmiałyk III, który miał lat sześć, albo sześćdziesiąt, bo jak już wspomniałem w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia otworzył oczy.

Słońce stało wysoko i byłoby doprawdy zbytnią śmiałością spać dłużej. Otworzył również uszy - ktoś cicho i nieśmiało pukał do drzwi.

- Proszę nie wchodzić - wyszeptał cichutko i zaczął się ubierać.

Po krótkim wahaniu ubrał nawet futro gronostajowe. O nie, nie dla prezencji bynajmniej, po prostu było ono tak duże, że nie widać było właściciela.

- No - mruknął zachęcająco. Do sypialni wszedł Korek - odobisty kamerdyner, który należał do tych nielicznych ludzi, których Śmiałyk nie bał się bardziej niż własnego cienia.

- Wasza Wysokość - wyspał - mamy gościa...

Dalsze słowa zagłuszył huk spadającego zegara z kukułką. To sprężynowa piosenkarka zaafierowana niecodzienną sytuacją wychyliła się tak daleko, iż pociągnęła za sobą domek.

Albowiem była to rzeczywiście niezwykła sytuacja. Od czasów pamiętnego rautu nikt nie odwiedzał księstwa, no bo i po co?

- Gość? - zdziwił się Śmiałyk - co za gość? Skąd wiesz?

- Powiedziano mi...

- Powiedziano ci?! - przerwał mu Śmiałyk - kto ci powiedział?

- Obywatele pokonując wrodzoną nieśmiałość przybiegli do mnie. Ten "gość" przekroczył graniczną rzepę, maszeruje i śpiewa.

- Co robi?! - prawie wykrzyknął Śmiałyk - śpiewa?! Na głos?!

- Noo... zaczął Korek, ale reszta słów rozplynęła się w dobiegających z oknem dźwiękach:

- O - jo - jojo - o jo - jojo

To nie mógł być nikt inny. Śmiałyk zaczerwienił się za nieznanego przybysza.

- Co zrobić? - myślał gorączkowo. W starych pismach pradziada było coś o wojnie, czy czymś podobnym. Było to podobno okropne i bolesne. Może to, no, ta wojna. Ale jak się zachować. No jak? Nigdy tak szybko nie myślał, ale był w końcu głową państwa /na samą myśl zrobiło mu się gorąco/ i musiał coś postanowić.

Postanowił usiąść. Gość wyraźnie zmierzał do zamku.

Serce zamarło i w tej przerażającej ciszy rozległo się pukanie do drzwi jak wystrzał armatni.

I Śmiałyk wiedział, że musi coś powiedzieć.

Korek osunął się zemdlony na królewską posadzkę.

## II

- Proszę - szepnął cichutko Śmiałyk. A potem jakby do siebie dodał: bardzo.
- Proszę bardzo - powtórzył i drzwi otworzyły się. Śmiałyk zamknął oczy i czekał.
- W końcu wolno otworzył lewe oko. Na progu stał dziwnie ubrany człowiek. Na głowie miał wysoką, spiczastą czapkę zakończoną dzwonkiem, pozostały strój tworzył coś w rodzaju munduru. W ręce trzymał kij zakończony brązowym rzemieniem.
- Dzień dobry - zaczął nieśmiało Śmiałyk.
- Czołem! - ryknął przybysz. - Nazywam się komandor Śruba. Będziemy razem współpracować. No, mam w każdym razie taką nadzieję.
- Jestem Śmiałyk - zaczął ksiązę - ale czy, czy nie mógłby pan mówić trochę ciszej?
- Ciszej?! zawałał gość. - A co, są tu szpiedzy?
- Szpiedzy? - zdziwił się z kolei Śmiałyk. - A co to jest?
- No tacy co podsłuchują.
- Podsłuchują? Ale po co?
- No jak to, żeby wiedzieć o czym mówimy.
- Ale po co?
- Mniejsza z tym - komandor machnął ręką. - Wpadło panu coś do oka?
- O przepraszam - zorientował się Śmiałyk i otworzył prawe oko.
- W dzisiejszych czasach trzeba mieć oczy szeroko otwarte - zarecytował Śruba.
- Pan wie po co ja tu jestem? - spytał podchwytliwie.
- W tym momencie Korek podniósł głowę i usiłował powstać.
- A to kto? - zainteresował się komandor.
- Korek - odpowiedział zdziwiony tą niewiedzą Śmiałyk - mój kamerdyner.
- Pewny? - pytał dalej.
- Pewny? - nie zrozumiał Śmiałyk.
- No dobra, więc nie wie pan, po co tu jestem? - powrócił do poprzedniego pytania.
- Nie.
- Przybyłem, żeby zrobić porządek!
- Porządek!!! - wykrzyknął błdy Śmiałyk.
- Kątem oka dostrzegł jak Korek ponownie osuwa się na posadzkę.
- Tak i od dzisiaj zakładam tutaj kwaterę.
- Kwaterę?!
- Ciemna kurtyna zakryła powieki. Śmiałyk osunął się omdlały obok swojego kamerdynera Korka.
- Dwaj nieśmiali przedstawiciele Księstwa Nieśmiałości.
- Komandor Śruba wyjął papierosa, zapalił i zamyślił się głęboko.

## III

- Śmiałykowi śnił się pożar. Wielkie języki ognia obejmowały okna i sufit. Dym atakował gardło. Wdzierał się pod język.
- Otworzył oczy. No tak, to ten człowiek palił coś długiego, coś wydawało tak silny zapach.
- Proszę pana... zająknął się, ale widząc zdziwione spojrzenie zrezygnował z pytania.
- No, doszadł pan do siebie - spytał a raczej stwierdził komandor.
- Wstawaj pan, czas zabrać się do pracy. Po pierwsze trzeba zrobić zebranie.
- Zebranie? - przestraszył się nie na żarty Śmiałyk.
- Następnie zrobimy spis wszystkich obywateli i rzeczy.
- O Boże - jęknął ksiązę - jak ja ich zwołam?

- Wywiesi pan ogłoszenie. Poza tym - ciągnął Sruba - założymy gazetę i sieć telewizyjną. Ale to w przyszłości. Na razie bierz się pan do roboty, a ja oglądnę sobie tymczasem gospodarstwo.  
Komandor Sruba chwycił swój kij i wyszedł trzaskając drzwiami. Śmiałyk został sam na sam ze swoim zmartwieniem i kamerdynerem Korkiem. Długo patrzyli sobie w oczy. Nastąpiły ciężkie czasy.  
- Przynies papier i pióro - szepnął Śmiałyk - musimy coś napisać. Słońce już dawno spało, tylko księżyc krążył po niebie doglądając ludzkiego inwentarza.  
Nad stołem pochyleni Śmiałyk i Korek złączeni jednym bólem pisali:  
"My /Śmiałyk i Korek/ z Bożej łaski chcielibyśmy Was prosić /o ile nie macie innych zajęć/ o przybycie do nas jutro w samo południe. Mamy pewien problem i chcielibyśmy z Wami nad nim pomilczeć  
z nieśmiałym pozdrowieniem  
książę Śmiałyk III  
kamerdyner Korek I

Korek poszedł wywiesić ogłoszenie na starym dębnie. Śmiałyk tymczasem usnął i śnił, że nic się nie stało. Było tak cicho, że gdzieś z oddali dobiegało skrzyknięcie butów komandora Sruby.

#### IV

Burmistrz Wezywiusz spał jeszcze snem sprawiedliwego, kiedy poczuł na twarzy delikatny podmuch - to małżonka Etna w tak znamieny dla obyczajów księstwa sposób budziła męża.  
- Wezu, Wezu wstawaj - szeptała cichutko. - Dzieje się coś niedobrego. W krótkich zdaniach przedstawiła mu sprawę ogłoszenia.  
- O Boże - jęknął Wezywiusz, chwycił szlafrok i wybiegł na ulicę. Istotnie działo się coś dziwnego. Tłum milczących obywateli podążał w stronę starego dębu. Wszyscy jak jeden mąż onieśmieleni, leciutko na paluszkach posuwali się główną ulicą miasta - Aleją Śmiałyka II. Nawet ptaki przestały śpiewać.  
Urzeczony tym widokiem burmistrz ruszył za nimi, tak jak stał w bamboszach i szlafroku. Wielu ludzi postąpiło chyba podobnie - tu i ówdzie dostrzec można było kolorowe pidżamy, szlafmyce, na pół ogolone twarze. Wszyscy zmierzali do wyznaczonego miejsca, gdzie czekał już na nich komandor Sruba w asyście czerwonych ze wstydu: księcia Śmiałyka III i jego kamerdynera Korka.  
Sruba stał w rozkroku, palił papierosa i poklepywał się po łydkach kijaszkiem.  
W ten oto sposób mieszkańcy księstwa usłyszeli o bacie, porządku i wielu jeszcze innych rzeczach.

#### V

- jejejejejeje - mrucał Śmiałyk. Czerwony ze wstydu, poszczekujący zębami stał na przeciw wielotysięcznej gromadki swoich podwładnych. Komandor Sruba co chwilę zerkał dezaprobująco i spluwał.  
W końcu rozpoczął:  
Czołem obywateli! Jestem komandor Sruba i będę robił tutaj porządek. Tubalny głos podziałał na nich jak granat. Rzucili się na ziemię i zakrywszy głowę rękami czekali na odłamki słów, które ze świstem nadleciały:  
- Bałagan tu u was obywateli, lekliwość dziesiątkuje, strach demoralizuje, a i pospolite leniwość nie obce. Od dzisiaj zarządzam co następuje:  
Wszyscy bez wyjątku mają wstawać o 6 rano, tzn. wtedy, kiedy wstaje

Kukuła - piosenkarka sprężynowa. I ani ziewnięcie później. Gimnastyka i do pracy. Każdy w ciągu dnia ma zasiać trzy ziarenka i zerwać jeden /do wyboru/ owoc. Zrozumiano?

Odpowiedziała mu przejmująca cisza.

- Co jest? - komandor zwrócił się do Śmiałyka. - Głuche czy co?

- Nno - wykrztusił Śmiałyk.

- Dobra, pan książe Śmiałyk zostaje nadal głównym zarządcą. Ja tylko będę mówił co i jak. A teraz do domów i wycoczywać.

Tłum zafalował i ruszył w stronę miasta.

Burmistrz Wezywiusz, który nagle znalazł się obok szewca Kopytko nie wytrzymał:

- No i jak?

- Okropne - potwierdził szewc. On nas zamęczy. Już to poranne wstawanie zdziśniętkuje mieszkańców. A ta bezsensowna praca? Po co? Czy nie przyjemniej śnić i marzyć o dalekich krajach, ananasowych wzgórzach, bawić się z zaprzyjaźnionymi rodzinami i cichutko śpiewać wesołe pieśni? No niech pan powie?

- Ma pan rację - zgodził się burmistrz. - Ja też nic z tego nie rozumiem. W dodatku nasz książe dał się wyraźnie zdominować. Musimy coś zrobić. Na razie nic nie zmieniamy w naszych dotychczasowych obyczajach. Zobaczymy jak zareaguje.

- Przekażę. W tej sytuacji obejmie pan chyba dowództwo?

- Cóż, pewnie będę musiał - westchnął burmistrz.

- Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje - Kopytko był wyraźnie wzruszony.

Pierwsze spotkanie postanowili wyznaczyć na następny dzień. W całym księstwie wrzało. Słońce zdumione nienaturalną krzątaniną zakryło twarz linią horyzontu.

Zbliżała się noc.

## VI

Tymczasem w pałacu komandor Śruba z nogami wyłożonymi na biurko mówił:

- Jeżeli nie zastosują się do moich poleceń, jutro rano sprowadzę psy, które będą ich pilnować. A kiedy i to nie pomoże przestaniemy wydawać żywność. Żeby móc jeść będą pracować! To ich złamie.

- Ale po co? To okropne - zaproponował Śmiałyk. A Korek zza jego pleców dodał: - Jak pan śmie!

- Co?! - Śruba poderwał się na równe nogi. - To i tu opór? Niech pan nie zapomina książe, że jest pan jednym z nich i tylko ode mnie zależy, jak się panu będzie dalej wiodło. A teraz proszę stąd wyjść! Chcę być sam.

Śmiałyk i Korek bladzi z przerażenia wycofali się z komnaty, która do niedawna jeszcze należała do nich. Nie mogli spojrzeć sobie w oczy. I stojąc tak ze spuszczonej głowami na pustym korytarzu pałacowym zrozumieli, że ich miejsce jest gdzie indziej.

Śmiałyk narzucił jeszcze przed wyjściem znane nam futro gronostajowe, Korek otworzył bramę i ruszyli przed siebie wprost w otwarte usta nocy.

Gdzieś poza miastem zawołał puszczek.

Czekało ich wiele przygód, które musieli pokonać, aby żyć.

## VII

Cały kraj z podnieceniem oczekiwał na zapowiedzianą godzinę szóstą. W rezultacie zgodnie z poleceniem Śruby nikt nie spał.

O szóstej rozległa się wzmocniona przez panią Echo /nowomianowaną dyrektorkę propagandy/ przebojowa piosenka Kukuły: Fa-fa-ra uu fa fajuu, fe-ra-ra-re.

Po czym zaległa denerwująca cisza.  
Z wieży zamkowej komandor Śruba uzbrojony w lornetkę lustrował domy.  
Klął przy tym okropnie, bowiem nigdzie nie mógł znaleźć ani Śmiałyka,  
ani Korka. Żadne drzwi, okno, firanka - nawet wiatr ustał - nic nie  
poruszyło się, skrzypnęło, otworzyło. Wkrótce nie było już wątpli-  
wości, mieszkańcy księstwa Nieśmiałości postanowili bronić swoich  
dotychczasowych praw.

"...dlatego zwracam się z prośbą o przysłanie kompanii psów  
strażniczych

podpisano  
komandor Śruba"

Tak kończył się ów list. Komandor zakleił kopertę i przywołał Józefa  
- gołębia pocztowego. Kiedy został w końcu sam zdjął czepkę, rozpiął  
mundur i zaczął cicho pogwizdywać. Ale miny nie miał wesołej. Zdawał  
sobie sprawę, że czeka go ciężkie zadanie.

Tymczasem Śmiałyk i Kerek dotarli do pierwszej chaty. Byli nie-  
wyspani, zmęczeni i głodni. W dodatku pogłębiająca się z minuty na  
minutę niepewność bolała ich bardziej niż niesprawiedliwość  
najeźdźcy.

Drzwi otworzył zegarmistrz Budzik, daleki krewny burmistrza i z tego  
być może powodu wtajemniczony w całą sprawę.

Z trudem rozpoznał swego księcia:

- Wody i coś do jedzenia - zażądał słabym głosem Śmiałyk.

Usiedli przy stole i tak jak przyszli brudni, zmęczeni usnęli i  
śniło im się, że jest zima, a Śmiałyk w nausznikach i szaliku tańczy  
bula-wula na królewskiej sadzawce.

Nieco później w domu burmistrza zaczęli gromadzić się zaufani ludzie.

Zebrań otworzył gospodarz:

- Drodzy obywatele księstwa Nieśmiałości, trudne przyżyjemy chwile,  
dramatyczne. W obliczu przemocy i siły my ludzie nieśmiáli i marzący  
musimy stanąć do walki. Musimy być solidarni, to jedyna nasza broń.

Dzień dzisiejszy pokazał, że stać nas na wspólne działanie. Zobaczymy  
co przyniesie jutro.

Hasło: w obronie szeptu. Dobranoc panom - zakończył.

Wychodzili parami, w pewnych odstępach. Niebo szarzało, zbierało  
się na deszcz.

## VIII

Pluton psów przekroczył graniczną rzepę i rozpoczął marsz w stronę  
pałacu. Dowodził nimi buldog Rajmund. Osobnik znany ze swej brutal-  
ności, cieszący się ślepym posłuszeństwem wśród podkomendnych.

Szli w zwartym szyku i rzucili swój hymn:

My lubimy głośno krzyżeć

My lubimy mocno gryźć

Kto nie wierzy nie przeżyje

Pokasamy go na śmierć

Krzyczeli tak głośno, że szyby w pobliskich domach /nie przyzwyczaj-  
one do takiego hałasu/ pękały, kwiaty wędły, ptaki padały martwe.  
Niosąc ze sobą hałas i krzyk zostawiali śmiertelną ciszę i spusto-  
szenie. Przerażeni mieszkańcy wybiegali chcąc zobaczyć na własne  
oczy co się dzieje. Wracali smutni i zgaszeni.

W pałacu komandor Śruba przygotowywał się do przyjęcia gości.  
Wkrótce stanął przed nim pluton wyprężonych psów z Rajmundem na  
czele. Rozpoczęły się powitania, po których Śruba z Rajmundem  
zamknęli się w komnacie.

Dawno już zapadł zmierzch. W pałacu nadal płonęły światła. Zła to  
była zapowiedź dla mieszkańców Nieśmiałości. Z lękiem spoglądali w



okna pałacowe, zastanawiając się co też z tego może wyniknąć. Wielu też myślało z niepokojem o losach Śmiałyka i Korka, co do których krążyły sprzeczne wiadomości. Rozpoczęła się kolejna noc, która bynajmniej nie przeniosła ich w inny, spokojniejszy świat snu.

## IX

Pierwszy obudził się Śmiałyk. Zdumiony obcym otoczeniem nie mógł przez chwilę dojść do siebie. Zarez jednak zaczął sobie przypominać, nawet jęknął cichutko. Korek otworzył oczy:

- Co robimy? - spytał jeszcze rozespany.

Śmiałyk po krótkim zastanowieniu zaczął mówić, wolno, często przerywając:

- Jest taki kraj, który mógłby nam pomóc. Nazywają go Królestwem Wolności. Żyją tam podobno ludzie, których sama obecność wystarczała by do przegnania naszych wrogów. Nikt nie wie jednak jak tam dojść. Podobno trzeba wykonać siedem zadań, ale jakich nie wiem. Ludzie, którzy chcą się tam dostać muszą iść długo i nie oglądając się za siebie patrzeć w niebo. Gdzieś po drodze sami pojmą jakie czekają ich zadania. Jak mówię, jest taki kraj, ale czy uda nam się tam dojść, nie wiem - zakończył Śmiałyk.

Korek uważnie patrzył na swego księcia. Nigdy go takim nie widział. Zniknęła gdzieś nieśmiałość. Czekali ich trudna droga, ale wszystko zaczynało być nagle możliwe.

Podziękowali za gościnę i z głowami wysoko zadartymi w górę rozpoczęli wędrówkę. Cicho podzwaniając żegnał ich zegermistrz Budzik. Ostatni świadek ich tragedii.

## X

Sposób jaki wymyślił komandor Sruba, aby zmusić mieszkańców do pracy był w istocie bardzo prosty. Już o świcie psy buldoga Rajmunda otoczyły domy. Na pierwsze słowa piosenki Kukuły wdarły się do mieszkań i kłusując wypędziły mieszkańców na zewnątrz. Nie było innej rady, rozpoczęto pracę. Co chwilę ktoś wyczerpany osuwał się na ziemię. Tak upłynął pierwszy dzień nowych rządów.

## XI

O zmierzchu w mieszkaniu burmistrza zebrali się wszyscy wtajemniczeni. Był tam szewc Obcasek i profesor Piórko, nawet proboszcz Winko uwierzył w konieczność obrony. Zebranie jak zwykle otworzył burmistrz.

Za oknem zaczął prosić śnieg, ptaki zacięrały z zimna łapki.

Zbliżała się zima - ta najbardziej krótkowzroczna pora roku.

- Ale przecież zamrozimy - zaproponował proboszcz Winko.

- Wykopimy jamki i tam przecekamy - twardo brzmiała odpowiedź - a poza tym nie może to trwać w nieskończoność.

- Tak, tak - poparła go reszta.

Decyzja ucieczki zapadła. Postanowiono zrealizować ją natychmiast.

Łącznik Skowron ruszył poinformować pozostałych mieszkańców.

Śnieg padał coraz gęstszy. Ziemia nasunęła na głowę białą pierzynkę. Rozpoczęła się wielka próba wytrwałości i odwagi.

## XII

Ciemne sylwetki odrywały się od jasnych grzybów chatek. Łączyły się w jeden czarny strumień, który nieuchronnie płynął w stronę odległych na horyzoncie drzew. Każdy wziął tylko to co miał najdroższego: szewc swój największy but, w którym nieraz smacznie spał, burmistrz maleńki klucz od miasta, który właściwie był wykałaczką, piosenkarka Kukuła fragment mikrofonu, który z powodzeniem służył jako sitko do makaronu itd.

Śnieg chrząścił pod butami. Ani jedno niepotrzebne słowo nie poszybowało nad nimi. Tylko kłęby pary wydobywające się z ust utworzyły coś w rodzaju ponadziemskiego klosza, chroniącego ich od nienawiści, choroby i strachu. Czuli się wolni choć nie bezpieczni, na to trzeba było jeszcze dużo czasu, no i odwagi rzecz jasna.

## XIII

Wyjątkowo spokojnie spał tej nocy komandor Śruba. Zadowolony z opowiadania sytuacji i zmuszenia, mimo wszystko, mieszkańców do pracy. Śnił, iż jego bacik wydłużył się tak bardzo, że można było iść po nim jak po kładce. Coraz wyżej i wyżej, aż hen do nieba. I komandor już, już dosiadał stopami niebieskiej fortecy, kiedy ktoś silnie potrząsnął go za ramię.

Nad łóżkiem stał blady, z pianą na ustach buldog Rajmund:

- Uciekli - wydyszał - wszyscy uciekli. W dodatku śnieg zasypał ślady i nie wiadomo, gdzie ich szukać.

- Kto? - rozespany Śruba przecierał oczy.

- Jak to kto? Ci z Księstwa Nieśmiałości.

- O Boże - pojął wreszcie co się stało. - Co będzie z nami? Przecież nie możemy istnieć sami, musimy mieć kogoś nad kim moglibyśmy panować. Jak zostaniemy sami to, to - zająknął się - to ja nie wiem. Gwiazdeczki śniegu osiadły na królewskim parapecie. W komnacie, w aureoli dymu cygarowego siedzieli Śruba i Rajmund. Opracowywali nowy plan działania.

Gra toczyła się o dużą stawkę.

## XIV

Las tętnił swoim życiem. Burmistrz zatrzymał się i cała kolumna znieruchomiała. Znajdowali się na przestronnej polance. Szewc Kopytko i zegarmistrz Budzik mianowani na tę chwilę adiutantami pobiegli do Wezywiusza:

- Co robimy szefie? - spytali jednocześnie.

- Zakładamy obozowisko. Miejsce wydaje się bezpieczne, a poza tym i tak jesteśmy wystarczająco zmęczeni - zdecydował burmistrz.

Wszyscy zgodnie pomagali, nawet proboszcz Winko zakasawszy sutannę znosił długie gałęzie niezbędne do stawiania szałasów.

Wkrótce bezładna do niedawna polana przeistoczyła się w leśne osiedle. Co pewien czas zaintrygowane zwierzęta przybiegały i one również włączały się do prac. Miś Wojcieszek przytaszczył nawet ogromną kłodę, która wysmienicie nadawała się na stół. Zadowolony z pochwał tak nieszczęśliwie upuścił drzewo, iż przygniótł sobie mały pazur. Właściwie wszystkie przygotowania były już zakończone, cała więc uwaga skupiła się na biednym misiu. Proboszcz Winko natychmiast rozpoczął modlitwę za dzielnego Wojcieszka, a łącznik Skowron polecił gdzieś po opatrunki. Jednak najskuteczniejsze lekarstwo zastosiła piosenkarka Kukuła. Stojąc przed zboliałym misiem uśmiechała

się po prostu. I miś wpatrzony w jasnowłosą piękność księstwa zapomniiał nie tylko o bólu, ale w ogóle, że gdzieś tam na dole posiada łapę zakończoną, między innymi, małym pazurem. Humory dopisywały. Panie pod przewodnictwem Etny, żony burmistrza Wezywiusza przygotowały kolację. Nie zapomniano o leśnych pomocnikach. Dla misia Wojcieszka - misa miodu, a dla sióstr Basi i Asi /uroczych wiewiórek/ - woreczek orzeszków. Śmiejąc się przekomarzając zasiedli do stołu. Po północy burmistrz odłączył się nieco od towarzystwa. Ucichły głosy, zrobiło się cicho i tylko las mrucał w swoim własnym języku. Wezywiusz spojrział w górę, migotały gwiazdy, nad głową wisiała ciemna kopuła lasu. I stojąc tak z dala od przyjaciół w ciszy i spokoju poczuł się ponownie bezpiecznie i wolny. Wolny i bezpieczny.

## XV

W tymczasem Śmiałyk i Korek już drugi dzień wytrwale maszerowali z głowami wysoko zadartymi. Nie czuli zimna ani głodu. Myśl o nieszczęśliwych mieszkańcach Księstwa Nieśmiałości odbierała im apetyty. Mieli już za sobą pierwsze, pomyślnie wykonane zadanie. Niestety nie mogą ci zdradzić na czym ono polegało. Powiem krótko: chodziło o dochowanie tajemnicy.

Wyszli właśnie z lasu. Mgła unosiła się nad polami. Nagle z pobliskiego zagajnika dobiegł ich cichy płacz. Na leśnej ściółce, w metalowych zębach potrzasku leżał lišek. Czerwone oczy i nosek zdradzały długotrwały płacz.

- No Korku, na co czekasz? Nie widzisz, że nasz przyjaciel potrzebuje pomocy?

- Jestem Maciej Chytrus - przedstawił się wytwornie oswobodzony lis. To było wasze drugie zadanie. Macie dobre serca, więc zdaliście.

## XVI

Poszukiwania nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Wycieńczony ze zmęczenia Rajmund powracał do pałacu. Czuł na plecach groźne spojrzenia swoich psów. Nie mając kogo kąsać stawały się coraz bardziej agresywne wobec siebie i dowódcy.

Bez pukania otworzył drzwi do komnaty. Śruba stał przy oknie i palił papierosa.

- No? - mruknął nie odwracając się.

- Nic, śnieg zasypał wszystkie ślady. Jesteśmy zgubieni. Chyba, że głód zmusi ich do wcześniejszego powrotu.

- Tak, mają przecież tutaj swoje zimowe zapasy - przypomniał sobie Śruba. Ale mogą też i nie wrócić,

- Mogą - zgodził się Rajmund. - Wtedy przyjdzie kolej na nas.

Z dziedzińca dobiegały krzyki. To psy Rajmunda dobrały się do beczek z winem. Zapowiadała się niespokojna noc.

## XVII

- Książę! - krzyknął Korek - proszę spojrzeć.

Z nieba zsuwała się gwiazda. Straciła równowagę, lub ktoś ją stracił.

Śmiałyk zerwał się do biegu. Długie poły futra rozchyliły się i książę przypominał w tym momencie jakiegoś orientального motyla.

Spadająca gwiazda była już parę metrów nad ziemią, kiedy Śmiałyk wyciągnął ręce i miękko spadła jak na poduszki. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się promiennie:

- Dziękuję. Tym uczynkiem wykonaliście prawie wszystkie stojące przed wami zadania. Uważajcie jednak, grozi wam poważne niebezpie-

czeństwo.

- Uważajcie - powtórzyła.

## XVIII

Pierwsza noc na nowym miejscu minęła spokojnie. Najwcześniej obudziła się piosenkarka Kukuła. Z przyzwyczajenia zaczęła przygotowywać się do porannej audycji. W gruncie rzeczy tęskniła do opuszczonego domu, atlasowych poduszek.

Promienie słońca przedzierały się przez konary drzew i opadały na ukryte we śnie twarze.

- Czy naprawdę mamy rację? - zadała sobie pytanie. Dzień był jednak zbyt piękny by psuć go wątpliwościami.

## XIX

- Musimy zorganizować obławę. Nie ma innego wyjścia - zaczął Śruba. - To świetny pomysł, zatrudnimy przy tym psy, które z tej bezczynności stały się niezdolne - wpadł mu w słowo Rajmund. - Zerez wydam rozkazy.

Śnieg sypał coraz gęstszy. Ruszono w stronę mającego w oddali lasu.

Przejmujące zimno wdzierało się pod kurtki i targało uszami.

## XX

Nagle las skończył się. Śmiałyk i Korek ujrzeni na jasno oświetlonej polanie domek. Zaciekawieni zbliżyli się i w tym momencie z chaty wyszedł czarno ubrany starzec. Długa jak zimowy szalik siwa broda powiewała na wietrze.

- Nareszcie jesteście - odezwał się - czekaliśmy na was. Jesteście w Królestwie Wolności! Proszę do środka - szerzej otworzył drzwi. Zabili im mocniej serca. A więc udało się, nadszedł kres ich wędrówki.

- Spójrz! - szepnął Śmiałyk. W oknach czarnały kraty, pod ścianą leżały łańcuchy, pobrzękiwały kajdany. Podnieśli szybko głowy. Znów byli tymi, którzy są w drodze. Wszystko znikło, stali na jasno oświetlonej polance. Pokonali następną przeszkodę. I maszerując coraz szybciej, zupełnie nagle nie zmęczeni, zrozumieli dlaczego z taką wytrzymałością zadzierają głowy. Bowiem tylko ludzie mający odwagę spojrzeć w niebo mają szansę być wolni.

Rozwiązali siódme i ostatnie zadanie.

## XXI

Śnieżycza rozszałała się na dobre. Śnieg zasypywał oczy, porywał słowa.

- Rajmund, nie damy rady, już drugi dzień tak krążymy.

- Co?

- Mówię, że już drugi dzień.

- Sam to wiem. Połowa moich psów leży zamrożona, a my krążymy prawdopodobnie po ich śladach.

- No to co robimy?

- Musimy iść, jak staniemy to będzie koniec.

Nowy podmuch wiatru powalił już i tak osłabionego Rajmunda. Śruba szedł dalej. Nic już nie widział, nic już nie czuł. Strech i nie-

pewność bolały bardziej niż zimno.

- Rajmund?

Odpowiedziała mu przejmująca cisza. Został sam.

## XXII

- To dziwne - zaczął Węzywiusz - kiedy opuszczaliśmy księstwo rozpoczynała się zima. Tutaj właściwie wiosna. Kwitną drzewa, kwiaty.

- Widzisz - miś Wojcisek zabrał się z gorliwością do objaśniania. Urwał jednak. Na polanę wkroczyli Śmiałyk i Korek. Umorusani, głodni, ale szczęśliwi.

- Królestwo Wolności to my! - krzyknął olśniony proboszcz Winko.

- I teraz rozumiesz dlaczego u nas ciągle wiosna - spytał zadowolony miś. - Bo ta wiosna jest w nas, gdziekolwiek teraz pójdziecie, gdziekolwiek się zatrzymacie będzie wiosna, przyjemnie i ciepło. Byliście nieśmiali, a mimo to zdecydowaliście się walczyć o swoje prawa. Możecie już wracać do domów. Zwyciężyliście!

Długo w noc Śmiałyk opowiadał o swoich przygodach. Zmęczony Korek oparł się o jego kolana i usnął wkrótce uszczęśliwiony. Piosenkarka Kukuła patrzyła jak urzeczona w rozjaśnione oblicze księcia.

Smutne są pożegnania. Miś Wojcisek aż się rozplakał ze wzruszenia i przyrzekł jasnowłosej piosenkarce, że ją odwiedzi.

W radosnych podskokach ruszono do Księstwa Nieśmiałości. I tam kontynuowano zabawę.

## XXIII

Sruba zdawał sobie sprawę ze swojego położenia. Wokół szalała zamięć, z której co pewien czas wylaniała się biała postać śmierci.

Wreszcie udało mu się trafić na drogę do pałacu. U kresu sił dotarł do bram grodu. Miasto w niczym nie przypominało dawnego Księstwa Nieśmiałości. Zewsząd dobiegały radosne okrzyki, muzyka i śmiechy. Wszyscy chcieli się podzielić radosną wiadomością: są wolni i szczęśliwi.

Potykając się Sruba zmierzał na zamek. Ostatkiem sił oparł się na kłamce i nieoczekiwanie znalazł się w komnacie, w której odbywała się uczta. Rej wodził tu Śmiałyk na przemian opowiadający dykteryjki, tańczący i śpiewający. Sruba poczuł nagle jak kolana, ręce, twarz twardnieją. I tak patrząc na radość i bez troskę, która królowała na sali - skamieniał!

Biesiadnicy bynajmniej tym wypadkiem nie zdziwieni postawili biednego Srubę na postumencie, by od tej pory upamiętniał owe wydarzenia.

Wiele lat później miejsce to stało się ulubionym placem dziecięcych zabaw.

## XXIV

Tak kończy się ta opowieść. Śmiałyk żył jeszcze sto lat, a kiedy poczuł, iż powinien przenieść się do Krainy Wiecznych Księciów zawołał Korka i jemu przekazał całą władzę. Bowiem nie ma już żadnego znaczenia kto panuje, kiedy ludzie potrafią być wolni, a więc szczęśliwi. Tak jak nie ma znaczenia, czy dzieje się to w wieku lat sześciu, czy sześćdziesięciu.

## Rozdział dwudziesty piąty, który jest postłowiem

Tak więc młody czytelniku zamykamy cicho drzwi domu pod numerem siedem.

Rozejrzyj się uważnie, może właśnie twój pokój, twoje mieszkanie jest tym wymarzonym siódmym niebem. Księstwo Nieśmiałości to ty, twoja młodsza siostrzyczka, mama lub tata.

Wystarczy zamknąć oczy i zjawia się bohaterowie tej książeczki. Od ciebie tylko zależy, czy będzie to komandor Sruba, czy radosny Śmiałyk i jego wierny kamerdyner Korek.

Więc zamknij oczy i śnij o Księstwie Nieśmiałości.

Bo wystarczy tylko w nie wierzyć. Tylko tyle, albo aż tyle.

Dobranoc

autor.

ANDRZEJ WIERNIKOWSKI

## Kto przeżyje wolnym będzie!

"Wolny jest ten, co posiada środki produkcji" - powiedział niejaki Karol Marks. Z powyższego wydedukowałem, że jestem człowiekiem wolnym, moje środki produkcji bowiem to papier i ołówki, ewentualnie długopis czy papier nutowy, a te środki jeszcze, mimo wszelkich trudności, posiadam. Ale w podobnie uprzywilejowanej sytuacji jest u nas niewielu ludzi, zwłaszcza w miastach, bo szczęśliwie, chłop nasz ciągle jeszcze trzyma swe środki produkcji w garści. Ale jakby tu "uprodukcyjnić", wyposażyć w środki produkcji ludzi w mieście, czyli jak upowszechnić wolność? Wszak ludzie miejczy żyją u nas z państwowej pensji a czasem, nie wiedząc nawet o tym, z zasiłku czy jałmużny, bo pracę częstokroć wykonują mało użyteczną, lub zgoła zbędną. Wyciągają więc rękę po forszę a jednocześnie dużo mówią o wolności duchowej, światopoglądowej, czy zgoła politycznej. Nie przychodzi im do głowy, że Marks miał jednak swoją rację, twierdząc, iż nie ma wolności politycznej bez wolności gospodarczej. Chyba stanę się więc spóźnionym nieco marksistą, przyjmując naukę o bazie i nadbudowie, zresztą dąłoby się ją może wmontować w realizm świętego Tomasza, próbował to kiedyś robić śp. książdz Kazimierz Kłósak, chcący pogodzić teologię z dialektyką - niestety obie Wysokie Strony zbyt pochopnie go wykleły, czego dzisiaj żałują. Tak więc, gdy twierdzę, że głowa opiera się na nogach i że duch bez brzucha funkcjonować na tej ziemi nie może, to chyba nie popadam w herezję? Tak sądzę, jeśli w błędzie, proszę Re/d/akcję o autorytatywny komentarz.

Moje zainteresowanie bazą nie jest dziś jednak popularne również wśród tzw. opozycji. Moi bliźni skłonni są wymyślać na wszystko, lecz jednocześnie pilnie wyciągają rękę po pieniądze do tego, któremu wymyślają. Ja w tej sprawie również mam szczęście /odpukać/, bo od państwa zwykle forsy brałem niewiele, raczej starałem się od księży /z tacy/, książki wydawałem prywatnie, za granicę wyjeżdżałem za własne, tamtejsze zarobione dewizy, jeśli zaś chodzi o instytucje państwowe, to głównie i bezpłatnie korzystałem z państwowej cenzury. Jestem więc opozycjonistą integralnym, materialnoduchowym, wyalienowanym, co jednak nie u wszystkich znajduje zrozumienie. Mam na przykład znajomego, wysokiego dyrektora w Ministerstwie Finansów, bezpartyjnego, praktykującego katolika, który kłęczy i leży krzyżem w kościele, śpiewa co trzeba, wznosi prawą rękę, po czym idzie do swojego ministerstwa i bez mrugnięcia okiem, soli biednym rzemieślnikom dra-

tońskie domiary, uważając, że jest całkiem w zgodzie ze swym chrześcijańskim sumieniem i światopoglądem. Gdy mu zwracam uwagę na tkwiącą tu wewnętrzną sprzeczność, uznaje mnie za dziwaka, który szuka dziury w całym.

Nie on jeden zresztą. Wszędzie, gdzie się obracam, moja propozycja, aby narodową dyskusję zacząć, jak każda nauka o bazie i nadbudowie nie od wątku politycznego lecz od gospodarczego, spotyka się ze wzruszeniem ramion i uchodzi za dziwactwo. Rozmówcy moi, tak mi się zdaje, nie znają starej anegdotki, opowiadającej, jak spotkały się dwie dżdżownice. Pierwsza mówi do drugiej: - Piękną mamy dziś pogodę. A na to tamta: - Ha, ha, wcale nie wiesz, że jesteś moim drugim końcem!

Tak więc, w przeróżnych środowiskach krytycznych, gdzie się obracam, mocno jestem osamotniony. Nie chcę dyskutować o parlamentaryzmie póki nie podyskutuję o hucie "Katowice", nie podejmę debaty o demokratycznej władzy, póki nie przewentyluję sprawy państwowego handlu, nie rozstrzygnę sprawy krzyży w szkołach, póki sobie nie wyjaśnię, czy szkoły u nas muszą być tylko państwowe, czy, jak w wielu krajach, pluralne: państwowe, prywatne, wyznaniowe, zagraniczne, związkowe etc. Ale taka płaszczyzna dyskusji nie budzi zainteresowania u "moich" ludzi. Według nich o hucie "Katowice" to może sobie dyskutować tylko pan Szałańda z panem Bobrowskim, oni zaś, ci moi, mogą jedynie o parlamentaryzmie i światopoglądzie. Zupełnie, jakby żyły tu dwa narody. A przecież to tylko dwa końce tej samej dżdżownicy!

Oponenci z mojego kręgu zarzucają mi, że dyskusją o sprawach gestii gospodarczej, bez omówienia kierowniczej roli politycznej nie osiągnę nic. Ja odpowiadam im, że oni, postępując odwrotnie, osiągną również tożsamo, czyli nic. Skoro więc obie strony osiągną takie samo nic, mimo obierania różnych metod, skoro na pytanie, jaki koń widzi jednakowo z przodu i z tyłu, odpowiedź brzmi: koń ślepy, to wszystko dowodzi, że mamy równe szanse proponując gadanie ja o tym, oni o tamtym. Skoro praktyczna, doraźna skuteczność obu propozycji jest jednakowa, taka jak u ślepego konia, z przodu i z tyłu, to znaczy, że nikt tu nie jest w tej chwili ważniejszy czy potrzebniejszy w sensie praktycznym, od nikogo innego, pytanie natomiast brzmi: czy je gadanie owocniejsze będzie i potrzebniejsze w przyszłości? Czyje się kiedyś bardziej przyda?

Są bowiem w historii okresy, kiedy niewiele da się zrobić, można natomiast w taki czy inny sposób to czy owo powiedzieć, to czy owo zanalizować, proponując w rezultacie wyedukowanie z tego jakiegos PROGRAMU przyszłych zmian. Nie tylko bowiem myślenie ma swoją, nawet kolosalną przyszłość, ale gadanie również. Chodzi tylko o to, aby nie było to gadanie jedynie taktyczne, doraźne, ale żeby zawierało jakieś konstatacje czy sformułowania, ważne na przyszłość, ponadczasowe, niezależne od chwilowych porażek politycznych. W latach 1979-82 wiele było w Polsce takiego czy innego gadania lub pisanie, ale gdy dzisiaj próbuje się z tego wycisnąć jakąś konkretną treść programową, niewiele nam w rękę /i w głowie/ zostaje. Wynikło to, moim zdaniem, właśnie z niedocenienia bazy materialnej systemu, a także z subiektywizmu sytuacyjnego mówiących. Nie sposób mówić o władzy bez zanalizowania jej podstaw materialnowłasnościowych, tak jak nie można rozpatrywać tylko łodygi rośliny ignorując jej korzenie: nie będzie wolnym ktoś, kto nie posiada, a choćby nie zrozumie, środków produkcji, zaś subiektywizm sytuacyjny uniemożliwia szersze, reformatorskie spojrzenie: ludzie, którzy całe życie pracowali w państwowej fabryce nie są w stanie wyobrazić sobie innej sytuacji, więc żądać będą tylko, aby państwo im lepiej płaciło. A spróbować choćby myślowo wziąć samemu odpowiedzialność za produkcję, zaważać nią choćby koncepcyjnie nie łaska?! Wiem, że to niełatwe dla ludzi uwarunkowanych, ale wzywam tych wszystkich innych, wykorzenionych, wyalienowanych, oderwanych, więc bardziej wolnych, aby dziś, gdy trwa CZAS

GADANIA, zamiasz o poezjach, imponderabiliach, światopoglądach, pogadali o środkach produkcji, ich posiadaniu lub nieposiadaniu oraz o tegoż skutkach. Myśleć nie o tym, do czego przywykliśmy, do czego nas zwyczajono, lecz poszukać innych, niespodziewanych bo zapomnianych materialnych form dla nowych treści - oto zadanie! Zajmijcie się bazą - czyż nie widzicie, jak okazało się to po dziesięcioleciach skuteczne? Zajmijcie się bazą, a w zamian obiecuję: kto przeżyje, wolnym będzie...

KISIEL

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego" nr 5/85/

## TUMANY I FETYSZE

### CZY ISTNIEJE PROGRAM NASZEGO PISMA ?

Uznana i wybitna redakcja, oceniając wysoko pierwsze numery "BD" - zarzuciła pismu brak jasnego programu, który to redakcja zwykle zamieszczała w pierwszym numerze. Podobny zarzut usłyszeć się też dało z ust niektórych czytelników. Padaly pytania: czyje to pismo? Jaką reprezentuje myśl polityczną, a jaką zwalcza? Jakiemu służy kierunkowi politycznemu?

A wszystko stąd, że w Niezależnej Polsce, której częścią jest i "BD", nastała moda na polityczne samookreślanie. Moda na namiętne spory grup i grupek politycznych co raz ogłaszających swoje manifesty programowe. Jeszcze nie tak dawno mieliśmy "Solidarność", dziś mamy skrajnych niepodległościowców, narodowców, konserwatywnych chrześcijan, liberałów różnych odcieni, chrześcijańskich demokratów, socjalistów, anarchistów, syndykalistów etc.

Nic z tych rzeczy. "BD" jest pismem członków i sympatyków "Solidarności" /patrz strona tytułowa/. Służy temu, co było i jest jednym z ważnych celów naszego Związku: wolnej wymianie myśli. Przedmiotem naszych zainteresowań jest polityka polska, uprawiana w Polsce i dla Polski. Jako redakcja pisma jesteśmy tacy sami jak Polska, jak nasz Ruch: wolni, lecz różniący się w poglądach. Nad polityką będziemy się zastanawiać, o polityce dyskutować i o politykę się spierać tak, jak czynią to dzisiejsi Wolni Polacy: z różnych pozycji, z różnych zawierzeń, z różnych politycznych opcji. Są wśród nas przedstawiciele wielu prądów i koncepcji, łączy nas jednak na pewno szacunek dla poglądów odmiennych i poszanowanie przeciwnika w dyskusji. Tylko bowiem z takiej pluralistycznej rozmowy Polaków może narodzić się przyszły kształt polskiej polityki, którą wcześniej czy później zaciemiemy tu, w naszym kraju uprawiać w praktyce.

Stąd też i nasz tytuł: "Bez Dekretu", a więc bez niczyjzego nadania, bez ulegania czyjemukolwiek autorytetowi. Wiemy, że nie istnieje nikt, kto z mocy ideologii lub doktryny mieliby rządzić w całości i na zawsze. Z politycznej praktyki - nie tylko Polski i nie tylko krajów ościennych - wiemy, jak faktycznie kończy się taki monopol racji. Dlatego pragniemy służyć zrozumieniu i poznaniu różnych racji, w przekonaniu, że tylko one razem pozwalają bez złudzeń i upiększeń dostrzec kształt całości.

Z poważnym bezprogramowym pozdrowieniem

Konrad Struga



**BEZ**  
**DEKRETU**

**NR 4 KRAKÓW**

**Cena 220 zł**